

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 46.

AUGUST WILKOŃSKI

**GORZKIE WSPOMNIENIE
SŁODKIEJ NADZIEI**

ZWIĄZEK

INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej

Koło w Białymstoku

l. 192

Nr

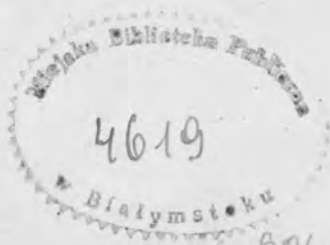


odpowiedzi uprasza się powołać na powyższą liczbę.

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907



884-311.2

W uśmiechu każdym zaparłem siebie,
Zaparłem gorzycę, com ją wciąż pił,
Raz tylko jeden na mojem niebie
Promyk radości jasno się lśnił.

GORZKIE WSPOMNIENIE SŁODKIEJ NADZIEI.

Powieść z trzynastomiarowym wierszem dedykacyjnym,
z ostrzeżeniem dla czytelników, przy którym się post-
scriptum znajduje.

Ostrzeżenie dla czytelników.

Przy czytaniu poniżej zamieszczonej powieści
zabrania się śmiechu, ziewania, głośnego oczyszcza-
nia nosa i wszelkich nieprzyzwoitości; albowiem
o ile śmiech z cudzych nieszczęść obraża — o ile
ziewanie jest wyraźną dla autora *impertynencyą*,
o tyle głośne wycieranie nosa i wszelkie nieprzy-
zwoitości są złego wychowania oznaką; a więc jak
wyżej, tego wszystkiego zabrania się.

P. S. Osoby, które się zająkują lub gładko
i zrozumiale czytać nie umieją, raczą się wstrzy-
mać od popisywania się ze swoim niezdnym ta-
lentem, gdyż przez podobne wady można z ujmą
własnej *reputacji* i najdzielniejszemu autorowi za-
szkodzić.

Wiersz dedykacyjny.

MARYNIU!

Dla ciebie zwłok starosty rok cały szukałem,
Dla ciebie w trybunale już proces przegrałem,
W apelacji też słaba nadzieja się kręci,
Niechżeć przynajmniej dzieło wielbiciel poświęci —
Przyjm je przez słodką pamięć, która serce pęta,
Bądź zdrowa, o luba! całuję rączeta.

Skłopotany podnózek i osmuczone pachole

Au. Wi.

Już trzeci tydzień bawiłem w dalekich odwiedzinach u mojej ciotecznej siostry Balbiny K***, pod Kamieńcem Podolskim w Białosęku, gdy w dzień świąteczny wtoczyła się na dziedziniec żółta, na czerwonym polu suto herbowana w pięć gniadych koni zaprzężona, poczworna karetka z woźnicą w galonach, z lokajem w galonach i z chłopczykiem po kozacku ubranym. »Pani starościna Bawolska!« z radością zawołała moja siostrzyczka, poprawiła mantyli i posłała po męża, który przed stajniami pokazywał siwego ogiera krwi czysto tureckiej. — »Wiesz też, braciszku, że starościna ma wnuczkę Marynię, bardzo ładną i bardzo bogatą?«

Zaledwo siostrzyczka zdążyła tych słów dokończyć, karetka stanęła przed dworem, galonowy lokaj i butny kozaczek otworzyli drzwiczki, spuścili stopnie, — a rumiana dobrej tuszy, sędziwa pani w kanarkowej jedwabnej sukni, z blondyno-

wym toczkiem na czarnej jak sadza w kominie peruce, w niebieskich ałasowych, ponsową pelą haftowanych pantofelkach, zesunęła się w objęcia Balbiny, a za nią piętnastoletnie dziewczątka jasnego włosa, z modrem spojrzeniem, lekkie i lube jak zefir majowy, w białej sukience z różową przepaską, istotny anioł, wnuczka, drobną nóżką dotknęła ziemi. Po zwykłych najczulszych przywitaniach, po zamianie kilku tuzinów kobiecych grzeszczności, starościna usiadła na kanapie, wnuczka na krześle tuż obok babki, a ja stanąłem tuż obok wnuczki.

— Prezentuję pani starościnie mojego ciotecznego brata Au. Wi., Wielko-Polanina, od lat dwóch w Królestwie mieszkającego.

— Pan pochodzi z Poznańskiego?

— Tak jest, pani.

— Czy zna wojewodzinę*...?...

— Kto taki?...

— Czy pan znasz wojewodzinę*...?...

— Znam bardzo blisko.

— To mnie cieszy nadzwyczajnie. Czy zdrowe córki? czy poszły za mąż?...

— Jeszcze nie uczyniły wyboru.

— Panny bogate, pięknego urodzenia, młodsze były wcale przystojne; prawda, że to już kilkanaście lat, jak ich nie widziałam.

— Czas jest wielkim nieprzyjacielem płci pięknej.

— *A propos*¹⁾, któż pana rodzi?

¹⁾ Ale, ale... (franc.).

Wyřęczyła mnie w odpowiedzi moja siostra. Starořcina rozpoczęła z nią szeroko o mojej matce rozprawę genealogiczną; nadszedł mąż Balbiny ze swoimi sąsiadami, powtórzyła się scena przywitania, ale naturalnie z pewną odmianą; wszczęto wzajemne udzielanie nowin ze sąsiedztwa; mnie zaś przypadło w podziale szczęście rozmawiania z wnuczką pani starořciny. Dowiedziałem się, że była z babką tego roku w Warszawie; że tańczyła podczas karnawału; że brała lekcye śpiewu; że namiętnie lubi muzykę; że zna powieści Kraszewskiego; że czytała *Stepy i Koliszczyznę* przez Tarszę; że wczoraj zaczęła czytać *Indianę* przez George Sand; że hoduje kwiaty; że ma brata Erazma, który jest chory i nakoniec, że babka mieszka w Jerzowej Górze. Na powszechnie prośby panna starořcianka śpiewała przy fortepianie; — chwalili wszyscy obecni, jam był zachwycony słowiczym głosem Maryni. Podano owoce, wino, lody, ciasta i herbatę. Starořcina odjechała. Mąż Balbiny zasiadł z sąsiadami do wista ze szturmem — aby się nie zgrywali, więc tylko po rublu asygnacyjnym.

— A cóż braciszku, jak ci się podobała Marynia?

— Bardzo.

— Proszeni jesteřmy z tobą na czwartek na urodziny Maryni.

— Ze mną?... ja miałem we czwartek wyjeźdźać.

— Wiesz dobrze, że byłoby mnie bardzo przyjemnie, gdybyś dłużej u nas zabawił; przecież, je-

żeli masz nieodzowny interes na ten wełniany jarmark warszawski...

— Zupełnie nieodzowny nie jest, ale chciałem być.

— Mnie się zdaje, że jeden dzień nie czyni różnicy (Balbisia uśmiechnęła się).

— Wy kobiety zaraz myślicie...

— Ja nic nie myślę.

— Czego się więc uśmiechasz?

— Ja podziwiam elektryczność twojego serca.

— A więc pojedę.

— Braciszku! zostań dla mnie i dla Maryni; nie masz się czego wstydzić, Marynia jest najpiękniejsza w całej naszej gubernii, a posag jej wynosi do miliona.

— Kopiejek czy groszy.

— Później się dowiesz.

Na tem się skończyła dnia tego o Maryni rozmowa; powiedziałem Balbisi *dobranoc* i udałem się do ogrodu; — wistowi nowego rozpoczęli robra.

W czwartek o 1-ej z południa Balbisia w atłasowej sukni, w pół-czepeczku z piórkiem i z kwiatkami; pułkownik, jej mąż, w granatowym fraku z czerwoną legii honorowej wstążeczką, z najeżoną czupryną; ja w czarnym fraku z wyolejkowaną głową, wsiedliśmy do czworokonnego pojazdu; — lokaj stanął za pojazdem, wąsaty Józef palnął z bicza, pułkownik upominał, aby ogiera *nie sforsował*; ruszyliśmy małym klusem. O godzinie 2-iej zajechaliśmy do Jeźowej Góry.

W obszernym pokoju bawialnym przyjęła nas

starościna z wielką uprzejmością; pułkownikowstwo powinszowali Maryni po polsku, ja zaś ułożony przez drogę komplement dla starościny i życzenia dla wnuczki wypaliłem w języku francuskim, co, jak uważałem, bardzo się starościnie podobało.

Zbliżył się młodzieniec wysoki, blady, z wyrazem cierpienia na twarzy; pułkownik chwytając mnie za rękę wyrzekł: »Mój szwagier, pan Au. Wi.« wykręciwszy zaś twarz na ukos, dopełnił: Pan Erazm*... wnuk pani starościny«.

— Pan dawno gościł w naszych stronach?... — zapytał młodzieniec.

— Od trzech tygodni.

— I nie mieliśmy przyjemności widzenia pana.

— Przybyłem w odwiedziny do mojej siostry i szwagra z zamiarem zabawienia dni kilku, dlatego nie szukałem znajomości, które po rychłej rozłące obudziłyby tęskność.

— Ale może stałyby się zawiązką przyjaźni na przyszłość.

— Poczytam się za najszcześniejszego, jeżeli dzień dzisiejszy okaże się dla mnie życzliwym.

— Jesteśmy tak dobrze o panu uprzedzeni, że od pana tylko zależeć będzie zatrzymanie w pamięci naszej znajomości, którą *propagować* na przyjaźń jest naszym życzeniem.

Dalsze cedzenie grzecznych wyrazów przerywali co chwila przybywające panie i panowie podolscy; kareta za kareta zjeżdżały się tłumnie; młodzież postacia, a nie wątpię, że i duchem dzielna, ze wszystkich stron kawalerskimi przybywała ko-

czykami, kabryoletami i wolantami; powinszowania i życzenia w różnorodnych animuszu* sferach, a wszystkie jednej treści, składano czarującej Maryni. Nastąpiło wielkie śniadanie (zegar wskazywał godzinę trzecią z południa); wszczął się gwar głośny, szerzyły się rozmowy o nowinach politycznych, o koniach, o welnie, o psach, o strojach, o angielskich ogrodach i o wiedeńskich powozach; z każdego przedmiotu było potrosze, tylko literatury nikt nie zaczął. Po przewybornych a sowitych zakąskach roznoszono karty do wista; matrony i młodsze mężatki zajęły miejsce na kanapach i fotelach, panny usiadły sznurkiem na taboretach, młodzież kupiła się za pannami, ja stanąłem przypadkowo za taborecikiem panny Maryanny, niezaprzeczanej królowej całego zgromadzenia.

»*Qui est ce Monsieur?*!«¹⁾ posłyszałem szepty pomiędzy młodzieżą. Erazm odpowiadał i zapoznał mnie z niektórymi paniczami.

Aby dłużej nie nudzić czytelnika, powiem, że wszystko odbywało się w takim porządku, jak się zwykle odbywa we wszystkich domach obywatelskich przed obiadem w dniu imienin, lub urodzin, a i obiad, który się rozpoczął o 7-mej, odbył się jak inne tego rodzaju obiady i skończył się późno wieczór. Po obiedzie zaczęły się tańce. Do pierwszego z Marynią mazura uprzedził mnie Narcyz, syn marszałka, na całe Podole *Prima Donna*²⁾

¹⁾ Kto jest ten pan? (franc.).

²⁾ Pierwsza śpiewaczka w operze, wogóle ktoś wyróżniający się (włoskie).

plci męskiej; lecz zostałem nagrodzony wyborem Maryni, która przy *robieniu figury* mnie swoją drobną rączkę podała. Drugiego mazura ja już z Marynią tańczyłem, a gdyśmy potem stanęli do kontredansa, odezwałem się do niej głosem wedle potrzeby umiarkowanym, ale drżącym:

— Mój powrót do Warszawy staje się dla mnie z każdą chwilą boleśniejším ciężarem; — pozwól pani, abym go zwiększył a zarazem abym ulżył marzeniom, że tutaj czasem zbudzę przyjazne wspomnienie.

— Wspomnienia są dla wspominających częstokroć niebezpieczne.

— O jakże szczęśliwy będzie, kogo pani, chociaż w najłżejszym przelocie myśli, tą winą zaszczycisz.

— W Warszawie łatwo jest o takim szczęściu zapomnieć.

— Jabym je za najdroższą życia mojego pamiętkę poczytał.

— Więc pan przyjmij tę winę.

— Pani nie dorzucaj iskry, gdzie ogień jest nieugaszony.

— Pan zwiedziłeś Włochy, czy to prawda, że lawa, którą Wezuwiusz wyrzuca, bardzo prędko stygnie?

— W łonie Wezuwiusza wre wiecznie.

— A któż się o tem przekonać może.

— Dla pani nie jest to żadną wątpliwością.

— Przeciwnie, gdyż pewność byłaby dla mnie więcej niż przyjemną.

Zabrzmiała muzyka, rozpoczęliśmy kontredansa.

Upojony wyrazami Maryni, tańczyłem bezprzytomnie; młodzieńcy podolscy wyśmiewali moją mniemaną kontredansową nieumiejętność.

Marynia odgadła przyczynę mojego roztrągnięcia i szeptanemi słówkami przypominała następstwa w każdej figurze, a gdyśmy skończyli, z lubym uśmiechem wyrzekła:

— Pan podczas kontredansu myślą swoją daleko od nas błędziłeś.

— Zwodnicza nadzieja uniosła mnie na najwyższy szczyt szczęścia a więc istotnie daleko błędziłem.

— W tak szybką podróż należy brać przewodnika.

— Czy rozum?...

— Ufność.

Marynia pobiegła do babki, w mojem sercu aniołowie zaśpiewali hymn zwycięstwa.

Przepraszam najłaskawszych i najszanowniejszych czytelników płci obojej, że następującą z kolei cząstkę mej powieści, jako jedną z trzynastu pamiętek mojego życia, przed ciekawem okiem publiczności zasłonę, nie chcąc rozwoju uczuć ani też ogniem miłości tchnących wyrazów na szyderstwo obojętnych, zimnych, bezdusznych bałwanów, ani też na obmowę zazdrosnych kobiet narażać;— a więc proszę, od dnia tej rocznicy urodzin Maryni trzy miesiące i dni jedenaście bez pytań pominąć, a grzecznie i cierpliwie posłuchać, jakim było moje położenie w domu pani starościny w dniu

12-tym września, jaki mnie spotkał zaszczyt zaufania, jak rozmaite trafiły mnie przygody i jakie stąd skutki wynikły.

W dniu 12-tym września starościna Bawolska, Marynia i staroście wyroili sobie w głowie, aby mnie uprosić, żebym ja na pogranicze Śląska, do Ostrzeszowa pojechał, tamże w grobach kościoła XX. Bernardynów nieboszczyka starostę wyszukał, do kościoła w Jeżowej Górze za Kamieniec Podolski (nad rzeką Prut) *cum omni splendore*¹⁾ sprowadził i w grobie familijnym Bawolskich zamurował. Wyraźne Boskie skaranganie i oczywisty żart Mefistofelesa, — pomyślałem w duszy. Ale ponieważ Marynia uroczych ocząt błagałem na mnie rzuciła spojrzeniem; — ponieważ staroście na przyjaźń mnie zaklął, abym go w tak smutnej powinności wyręczył, — sam bowiem, będąc po głodowej kuracyi, lękał się osłabionego zdrowia rozczuleniem wynajdywania zwłok nieboszczyka dziadka narażać; — ponieważ starościna nakoniec bez ogródki objawiła, że ta znamienita usługa dla familii prawo moje do ręki jej wnuczki ustali, nie pozostało mi przeto nic więcej, jak zwyciężając żal oddalania się na czas długi od Maryni, rzeczzone polecenie wbrew moim o pogrzebach wyobrażeniom najchętniej, z wdzięcznością przyjąć i za dowód łaski i zaufania, za dobrodziejstwo uważać.

Płci piękna! moc waszych wdzięków jest wszechwładną. Maryniu! twoje każde życzenie za-

wsze było dla mnie wyrokiem bez apelacyi, zawsze pod natychmiastową egzekucją.

W cztery tygodnie później, dnia 11-go października, opatrzony pozwoleniem właściwych władz do sprowadzenia zwłok s. p. Jana Kazimierza Wojciecha, trzech imion starosty Bawolskiego, przyjechałem do Jeżowej Góry na pożegnanie, które to pożegnanie trwało dni pięć, bo dopiero 16-go października szepnęła Marynia: »wracaj najspieszniej o luby!« »słowa mojego dotrzymam«, wyrzekła starościna, podając rękę do pocałowania.

Chociaż podróż daleka, przecież starodawnym zwyczajem wyjechałem własną telegą i własnymi końmi. Drogi były błotniste, dni późnej jesieni znacznie krótkie, upłynęło więc dwa tygodnie spełna, niżeli do Warszawy przybyłem. W Warszawie obstałowałem dwie trumny, jedną dębową, angielską blachą wybitą i pakiem wewnątrz wylaną, drugą zwierzchnią, machoniową z srebrnymi antabami, blachami, frendzlami z malowanym herbem Bawolskich, zgoła ze wszystkimi wysokiemu urodzeniu nieboszczyka należnymi drobiazgami i szykanami. Dzięki usłużności rzemieślników, kunsztmistrzów i artystów warszawskich, rzeczzone trumny w przeciągu dni ośmiu za wyliczeniem 1500 złp. odebrałem. Nająwszy pod trumny osobną żydowską furmankę, ruszyłem 4-go listopada; — a że do Kalisza droga żwirowa a od Kalisza jeden już tylko dzień podróży, przeto 9-go listopada, w dzień Teodora męczennika, stanąłem w Ostrzeszowie (proszę pamiętać: w dzień męczennika) w domu zajezdnym pod kogutem czyli gołąbkim, tego roz-

¹⁾ Z całą okazałością (lac.).

poznać nie mogłem, bo genialny talent gardził niewolniczą formą, gdy owego ptaka malował. Znużony podróżą, rychło udałem się na spoczynek. Nazajutrz już o godzinie 8-mej byłem w kościele; po wysłuchaniu mszy św. zapytałem w zakrystyi o ks. gwardyana.

— Wyjechał do Poznania na dwa tygodnie, — odrzekł pokorny laik Prosper. — Któż miejsce ks. gwardyana zastępuje? — Ksiądz Bonifacy. — A ks. Bonifacy czy jest w klasztorze obecny? — Właśnie poszedł do swojej celi. — Któraż to cela ks. Bonifacego? — Pierwsze drzwi za celą ks. gwardyana. — A któraż cela jest ks. gwardyana? — Tuż obok refektarza. — Gdzież jest refektarz?! — Pan dobrodziej zapewne obcy, a więc zaprowadzę. — Proszę!

Idąc długim korytarzem, minęliśmy na prawo cel ośm, na lewo cel pięć, wschody na chór prowadzące, znów cel cztery, potem skręciliśmy w drugi korytarz i przed trzecimi drzwiami na lewo zatrzymał się mój przewodnik, mówiąc: »Oto jest cela ks. Bonifacego«.

— *Laudetur Jesus Christus!*¹⁾ — odezwałem się, wstępując do celi ks. Bonifacego. — *In saecula saeculorum amen*²⁾, — odpowiedział dobrej tuszy, sędziwy zakonnik.

— Czy z ks. Bonifacym rozmawiam?

— Tak jest.

— Nazywam się Au. Wi., przybyłem z Podola,

¹⁾ Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus (łac.).

²⁾ Na wieki wieków amen (łac.).

upoważniony przez familię Bawolskich, ażebym zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha, trzech imion starosty Bawolskiego, znajdujące się w grobach tutejszego kościoła, po żałobnem za duszę nieboszczyka nabożeństwie, stąd wyprowadził i odwiózł je do grobu familijnego w Jerzowej Górze na Podolu. Oto jest na moją osobę sądowe upoważnienie od familii; oto jest paszport, tożsamość mej osoby legitymujący.

— Dobrze to jest wszystko, ale w nieobecności ks. gwardyana nie wiem, jak się mam w tym interesie porządzić.

— Pani starościna przesyła przezemnie 1000 złp. dla klasztoru, a osobno 500 złp. na żałobne nabożeństwo przy wyprowadzeniu zwłok starosty.

— Dobrze to wszystko, bardzo dobrze; właśnie jesteście w potrzebie, bo dach zaczęliśmy na kościele reperować, a i w dzwonnicy drzewo jest spróchniałe.

— Raczy więc ks. dobrodziej przyjąć te obiedwie sumki i rozkazać łaskawe wynalezienie zwłok nieboszczyka, jak niemniej zarządzić nabożeństwo.

Domawiając tych słów, odrachowałem hollenderskich ważnych dukatów 75 z dopłatą po gr. 15 na każdym dukacie. Ks. Bonifacy, stuknąwszy w każdą sztukę złota, głową kiwnął na znak, że nie masz w sumie zmyłki, poczem nizko się pokłonił, pieniądze do szuflady zgarnął i na klucz zamknął.

— Jaśnie wielmożny pan może pozwoli sobie służyć małym śniadankiem; mam ja tutaj śledzia z Krotoszyna, znajdzie się i wódeczka; na co nas stać w klasztorze.

— Każdego rodzaju gościnność jest zawsze miłą.

— Mielśmy i wędzone kielbasy, ale ksiądz gwardyan wziął wszystkie trzy na drogę.

— Niech będą ks. gwardyanowi na zdrowie; dla mnie dobry i śledź, zwłaszcza, że lubię śledzia, a zapewne niezgorszy, kiedy z Krotoszyna.

— Pan burmistrz bardzo je zachwalał i on to istotnie sam te śledzie kupował, będąc w Krotoszynie.

Jakkolwiek śledź był niezaprzeczony Szwed trzygroszowy, jakkolwiek podano mi na zakąskę bułeczkę, z pewnością przed ośmioma dniami upieczoną, i wódeczka nigdy się z alembikiem nie widziała, — przez grzeczność jednakże wszystkiemu próbował.

— JW. pan przebaczy, że niczem lepszym służyć nie mogę.

— Dobre serce najwykwintniejsze przysmaczki zastąpi.

— Co się tyczy interesu pańskiego, chociaż ks. gwardyan jest nieobecny, biorę to już na moją odpowiedzialność; ale uważam, że do wydania zwłok potrzebne są pozwolenia *pro primo*¹⁾ konsystorza — *pro secundo*²⁾ regencji poznańskiej, a kto wie, czy nawet nie ministerium z Berlina, — bo bez dopełnienia tych formalności upewnić JW. pana mogę, że i sam ks. gwardyan nie byłby w sta-

¹⁾ Po pierwsze (łac.).

²⁾ Po drugie (łac.).

nie przychylić się do życzeń JW. pana, mamy bowiem surowe w tej mierze przepisy.

Gdyby mnie kto palką po czerepie uderzył, jeszczeby mnie tak nagle głowa nie zaboląła, jak kiedyś usłyszał o formalnościach. Śledź w zębach, bułeczka w rękę nieruchomo zawisły. Spojrzałem się smutnie na szufladę, gdzie moje spoczywały holendry.

Kiedy za powrotem do domu zajezdnego biję się z myślami, czy jechać, czy pisać po one pruskie pozwolenia na wyprowadzenie za granicę zwłok ś. p. starosty Bawolskiego, wbiegł do izby mój woźnica Mateusz i wrzasnął na całe gardło: »pańskie konie nam ukradli!«

Przełęczony, jeszcze nie zdążył ust otworzyć, gdy wbiega furman warszawski, który trumny przywiózł, za furmanem wbiega gospodarz domu i każdy osobno wrzeszczy jak zamówiony: »pańskie konie ukradli!«

— Kto? kiedy? jak?...

Ż y d.

— Mateusz *wysied* na rynek kupować biczy-sko, *jam się trochę zasnął* na pańskiej bryczce...

G o s p o d a r z.

— Na nieszczęście, ja także z żoną moją byliśmy na mszy św.

Ż y d.

— Wiatr począł mnie *studzić*, *budzę się*, *patrę*, wrota od stajni na pole roztwarte, — *patrę* —

nie masz mojej bryki z trumnami, patrzę, a tu i koni pańskich niema w stajni.

Nie było czasu do dalszej rozmowy. Woźnica Mateusz, Jan lokaj i żydek na warszawskich, sześciu mieszczan z Ostrzeszowa na swoich własnych koniach rozbiegli się na wszystkie gościńce. Minęło południe, minął zachód słońca, noc zapadła, — nikt jeszcze nie wracał, a pan burmistrz, popijając z mojego samowara herbatę, twierdził, że niezawodnie złapali złodzieja. Wybiła godzina dziesiąta, pan burmistrz przyznał się, że za wiele dolewał araku, powtórzył zapewnienie, że niezawodnie złapali złodzieja; życzył mi, abym był spokojny, powiedział dobranoc i udał się na spoczynek. O dwunastej położyłem się nierozebrany w łóżko.

»Wracaj najspieszniej, o luby!« — Słowa mojego dotrzymam«. — »Auguście, dasz mi dowód przyjaźni!« Marynia, starościna i staroście, jak gdyby na jawie przemówili do mnie; wzrok mój zatopiłem w uroczą postać Maryni, ona się do mnie uśmiechała, jej wdzięki pełnym kwiatem czarują me zmysły, myśl swawolna spuszcza się na zrąbek, cisnący bijące dla mnie serce dziewicy, każdą chwilę przyszłości chętniebym połową życia odkupił, — wtem jasność od okna raz i powieki. Budzę się, — moje papiery i jedna firanka w płomieniach:

Ratujcie! — krzyknąłem z przestachu i równocześnie golemi rękami ogień gasić począłem.

Gospodarz domu w koszuli, ze świecą, parobek z kubelkiem wody i nocny stróż z koszturem, razem na pomoc wpadli; szczęściem kubełek nie

był próżny, woda zwycięstwo odniosła, ale pugilares z pieniędzmi, upoważnienie do przewiezienia zwłok ś. p. starosty Bawolskiego, mój paszport — w całości splonęły; a ręce moje, z początku do raków podobne, niebawem białymi pokryły się pęcherzami.

Już siedm tygodni minęło; jam jeszcze pióra w rękę ująć nie mógł; balbierz miejscowy, za którego znajomość chirurgii pan burmistrz zaręczył, — jak utrzymywał doktor z Krotoszyna, — zamiast maści gorącej, użył przez grubą pomyłkę maści jątrzącej; wprawdzie środki, przez doktora później użyte, były skutkujące, ale kuracya wolnym szła krokiem; przypalone żyły, spryszczone kości długiego potrzebowały czasu, ażeby do zdrowego stanu powrócić, a pan konsyliarz Borstenmaus swej biegłości w sztuce lekarskiej, gospodarz domu *wielkiemu* szczęściu, gospodyni domu łasce Boskiej przypisywała, że się obyło bez odjęcia dziesięciu palców.

Gońcy, wyprawieni za złodziejem, dopiero na trzeci dzień po pogorzeli moich rąk i papierów powrócili byli bez śladu złodzieja. Obiegniki z opisem koni, bryki i trumien szły *langsam*¹⁾ ze wsi do wsi, z miasta do miasta: pan *landrat* wprawdzie doniósł mi, iż odebrał wiadomość, że pod Frankfurtem nad Odrą przytrzymano podejrzanego żyda z czterema końmi, — ale tamte konie były karej, moje zaś gniadej maści.

¹⁾ Wolno (niem.).

Zydek, furman warszawski, otrzymawszy złp. 150 za stare graty skradzionej bryki i złp. 400 za przewiezienie trumien i za 5-cio dniowy pobyt w Ostrzeszowie, powrócił do Warszawy; korespondencje o nowe upoważnienie do przewiezienia zwłok ś. p. starosty Bawolskiego, i o nowy dla mnie paszport, o pozwolenie z konsystorza, o pozwolenie z regencyi poznańskiej, ręką pana burmistrza pisane i jego pośrednictwem na pocztę wyprawione, jeszcze żadnej nie uzyskały odpowiedzi. Jan Kierejsza, jeden z tych ostrzeszowskich obywateli, którzy przezemnie najęci byli w pogoń za złodziejem, wytoczył przeciw mnie proces o wartość konia, którego, jak dowodził, schwacił był w usłudze dla mnie dokonanej, — znalazł nawet prawem żadaną liczbę świadków, którzy utrzymywali, że przy wysłaniu pogoni rozkazywał, aby pędzili, co koń może wyskoczyć. Gospodyni, za maleńką z grubego perkalu firankę podała likwidację, wynoszącą złp. 45. Kosztowało pomieszkanie, żywność moja i dwóch służących, doktor z Krotoszyna przybywający, apteka; — kwartał mojego pobytu w Ostrzeszowie upłynął, już tylko 600 złp. miałem w zasobie, jaki po pogorzeli pugilaresu w sakiewce dukatami pozostał, gdy pewnego dnia odwiedził mnie pan burmistrz i przy zamkniętych drzwiach ze łzami prosił, abym mu pożyczył 300 złp., ponieważ pisarz jego skradł mu takową sumę z kasy miejskiej. Nieszczęśliwi, a ja do nich w Ostrzeszowie należałem, czuli są na nieszczęście bliźniego, a więc spodziewając się nadto z dnia na dzień niewątpliwej przesyłki pieniędzy

od bankiera z Warszawy, wyliczyłem panu burmistrzowi żadaną sumkę i pozostałem przy 300 złp. Ledwo że dziękujący i dozgonną wdzięczność obiecujący burmistrz moje pomieszkanie opuścił, wchodzi posłaniec z poczty i doręcza mi list niefrankowany z Wrocławia. Płacę *porto* 7 srebrników i trzy denary, łamię pieczętą, — i któż uwierzy, że mnie paraliż nie zaraził, gdy następujący list przeczytał:

Wrocław, dnia 27 lutego 18..

Jaśnie wielmożny panie!

Mojego honoru i uczciwości powinność nakazuje mi, abym Jaśnie wielmożnemu panu zwrócił listy, których nie odsyłałem na pocztę, ale przy sobie zatrzymałem dla zyskania danych mi przez pana burmistrza pieniędzy na opłatę portoryi od tychże listów. Szczupła pensya, jaką mi pan burmistrz mimo moich zasług i *zdolności* wyznaczył, spowodowała mnie do tego kroku. Widząc z odpieczętowanych listów, że na przesłaniu tych listów Jaśnie wielmożnemu panu zależy, i ulitowawszy się nad smutnem skądinąd położeniem pańskim, donoszę JWPanu dzisiaj przed moim z Wrocławia wyjazdem, że prośba pańska do regencyi poznańskiej o pozwolenie wywiezienia do Polski zwłok nieboszczyka Bawolskiego, list do konsystorza, list do bankiera w Warszawie, listy dwa do pana landrata w Krotoszynie, listy w jednej kopercie do Jeżowej Góry pod Kamieniec Podolski, — w sumie

ogólnej: listów 7, w chustce od nosa szpagatem związane i opieczętowane, znajdują się wszystkie w Wrocławiu u pana Knypsz, piekarza, oddane na ręce córki jego Elizy, które JWPan za zgłoszeniem się każdego czasu odebrać może. Życząc JWPanu rychłego i najlepszego zdrowia, przepraszam za zawód przezemnie doznany, cztery zaś talary i ośm srebrników, których za te listy nie zapłaciłem, otrzymawszy na nie od pana burmistrza pieniądze, może JWPan odebrać od pana burmistrza z mojej zaległej pensyi za ostatni kwartał z roku przeszłego, a gdyby się pan burmistrz tłumaczył, że ja *defraudowałem* z kasy miejskiej 300 złp., wtenczas *deferuję* panu burmistrzowi przysięgę, że mnie się z przeszłego roku jeszcze 17 talarów pensyi i jeden talar kosztów podróży za rekrutami do Krotoszyna słusznie należy; bo potrącenie kar porządkowych, przez pana landrata wymierzonych nie mnie, ale pana burmistrza dotyczyło, a on niesłusznie na mnie winę spędził, o czem pan burmistrz wie najlepiej.

Zostaję z jak najgłębszem uszanowaniem

JWPana

najniższy sługa

Jakób Knewkowski,

były etatowy pisarz.

Nigdy mściwy nie byłem, ale gdyby mi kto wtenczas Jakóba Knewkowskiego, byłego etatowego pisarza, do rąk moich dostawił, byłbym go niewątpliwie, ale to bez zawodu, żywcem udusił.

Potrzeba było upływu całej godziny, zanim odzyskałem zmysły, a potem jeszcze przez dwie godziny z gniewu sapałem; zwolna dałem przystęp zimnej rozwadze, potem począłem dumać, wkońcu przekonałem się dostatecznie, że gniew zgola nic nie pomoże i że pospieszne pióro najwłaściwszą w tym przypadku będzie czynnością. Jakoż odrzucając powijaki z mej ręki, jąłem się do pracy. Przed wieczorem już wszystkie ukończyłem listy i sam je odniosłem na pocztę; żeby zaś pan piszczyk z ostrzeszowskiej poczty Jakóba Knewkowskiego nie miał sposobności naśladować, na te wszystkie listy wzięłem rewers, i już pewny skutku, powróciłem na nieszczęsną kwaterę.

Burmistrz, uwiadomiony o tym nowym występku swojego byłego pisarza, bezpośrednio zaklinał się w żywe Bogi, że Knewkowskiemu ani grosza nie winien, że gdyby mu przyszło cały stracić majątek (na szczęście prócz pocziwej żony i siedmiorga ładnych dzieci nie miał innego), Jakóba, zbrodniarza, wynajdzie i do sądów kryminalnych odeśle.

Wzamian tej szczerej gorliwości zażądałem od pocziwego prezydenta, aby się udał do ks. gwardyana, który oddawna z Poznania powrócił, z uprzejmą prośbą w mojem imieniu o chwilowy zwrot chociaż tylko 500 złp., które na kosztą żałobnego nabożeństwa ks. Bonifacemu zaliczyłem; obawiałem się bowiem przed nadejściem z domu pieniędzy zupełnego wyczerpnienia mej konającej gotowizny.

— Pan dobrodziej — wyrzekł burmistrz, masz

prawo nietylko 500 złp., ale i całkowitą sumę odebrać.

— Ja nie myślę odbierać.

— Rozumiem — rozumiem; pan dobrodziej zwrócisz, skoro z domu przyszlą pieniądze, a tylko nadzwyczajne przypadki... Już ja to wszystko opowiem.

Pan prezydent wszedł w owem poselstwie do klasztoru; ja tymczasem rozkazałem Mateuszowi nastawić samowar, posłałem po cukier i arak i umyśliłem nazajutrz jechać do Krotoszyna celem widzenia się z doktorem Borstenmaus, gdyż wskutek kilkogodzinnego natężenia ręki przy pisaniu listów uczulem ból odnowiony. Gdy myśl moją tym przedmiotem zatrudniam, powraca prezydent. Z jego rzadkiej miny poznałem odrazu, że poselstwo prezydenta niepomyślnie się powiodło.

— A cóż?... kochany pan napróżno się trudził.

— Przyznam się panu dobr., że nie spodziewałem się po ks. gwardyanie!

— Dla mnie w Ostrzeszowie każdego rodzaju nieprzyjemność jest spodziewaną.

— Tłumaczy się, że kupił drzewo, wapno, dachówkę, że popłacił majstrom i pomniejsze długi u kupców i *sumuje* się, że z tych pieniędzy pozostało mu tylko dwa dukaty, które, jeżeli pan dobr. pozwoli, zaraz przyśle.

— A cóż mnie po dwóch dukatach?

— Co do mnie, ja istotnie w tak nagłym czasie nie wiem, czyli przed Wielkanocą będę w stanie...

— Ale któż o tem mówi, kochany prezydencie, raczej bądź łaskaw nalać herbaty, bo mi znów ręka nieco nabrzmiała.

— Może pan dobrodziej zaziębil? trzeba by posłać po doktora.

— Jeżeli prezydent masz wolny czas, przejechalibyśmy się jutro do Krotoszyna.

— Z miłą chęcią, i owszem, gdyż i mnie wypada być u pana *landrata*.

Umówiwszy jutrzejszą podróż, przy herbatce przeszliśmy do potocznej pogawędki. Prezydent opowiadał mi historję swojej służby wojskowej, historję swojego ożenienia; skarżył się na intrygi, przez które pozbawiony został wyższej posady; chwalił mi swoje dzieci, popłakał się, wypił czwartą szklaneczkę i gdy nocny stróż godzinę dziesiątą ogłosił, jako przykładny mąż powędrował do domu. Tak się dla mnie zakończył znów jeden dzień nieszczęść, smutku i nudów ostrzeszowskich.

Zaledwo słońce pierwszym promieniem na świat rzuciło, burmistrz zajechał przed moje mieszkanie; byłem już ubrany, a więc niebawem ruszyliśmy w drogę. Prezydent przez cały czas podróży, był wbrew swojemu zwyczajowi bardzo mało mówiącym; uważałem nawet, że im więcej zbliżaliśmy się do Krotoszyna, tem wyraźniej mallował się smutek na jego twarzy.

— Co tak prezydent zasępiiony? czy u *landrata* burka prezydenta czeka?

— Nie obejdzcie się zapewne bez jakiej przy-mówki, bo nasz pan *landrat* ma to w zwyczaju. Tym razem jednakże mam inną przyczynę smutku,

gdyż przyznam się panu dobrodziejowi, że czynię sobie pewne w tym względzie wyrzuty, iż pozwoliłem na pańską podróż do Krotoszyna. Boże broń przypadku... gdyby pan dobrodziej miał zachorować, nie darowałbym sobie tego do śmierci.

— Ja mam zachorować?... dlatego, żem się przejechał do Krotoszyna po czternastotygodniowej pokucie ostrzeszowskiej?... Cóż się u licha prezydentowi przyśniło?

— Powiem więc panu dobrodziejowi, że lepiej oto, kiedy jeszcze czas, powrócić do Ostrzeszowa, bo w Krotoszynie panuje cholera.

— Dawno?

— Podobno już od trzech dni umierają.

— Wieczny odpoczynek tym, co już pomarli. Co do nas, byłoby śmiesznością, gdybyśmy, pół mili będąc od celu podróży, wracać mieli z obawy przed cholera. Wstydź się, stary podporuczniku! Któż to widział, aby żołnierz bał się zarazy; napijesz się miętówki i figę cholery pokazesz.

— Ha! niech i tak będzie.

W tem mijamy idącą z miasta wiejską niewiaстę.

— Matko! a cóż tam nowego słychać w Krotoszynie?

— Wielmożny paniczku! źle — odrzekła kobieta.

— A cóż złego?

— Cholera.

— Dużo ludzi umiera?

— Ludzi jeszcze nie wiele, ale żydów to po kilkoro na dzień.

Rozśmieszeni odpowiedzią chłopki, która żydów za ludzi nie uważała, wjechaliśmy do Krotoszyna z żartami na ustach; ale gdyśmy przy pierwszej ulicy dwóch nieboszczyków spotkali, prezydent zbiegał jak kreda, mnie cichaczem dreszcz po plecach przebieżał.

Pan konsyliarz Borstenmaus przyjął mnie bardzo grzecznie; miałem szczęście poznać jego żonę, o której mi wiele w Ostrzeszowie powiadał i pokazał mi dwumiesięczną córeczkę; potem obejrzał moje ręce, kazał dalej *kontynuować* maść żółtą i przepisał proszek do posypywania. Wnieziono śniadanie; spytałem się o śmiertelność cholerycznych, konsyliarz zapewnił mnie, że jemu jeszcze żaden choleryczny pacjent nie umarł, że wypadki śmierci, które się w mieście zdarzyły, wynikły jedynie z uporu jego kolegów, którzy inną leczą metodą; następnie rozprawiał wiele o chemii, z chemii przeszliśmy do fizyki, od fizyki powróciliśmy do medycyny; konsyliarz uwiadomił mnie nawiasem, że 5 lat chodził w Berlinie na klinikę, że należy do najznakomitszych lekarzy, czemu ja, popijając jego *Strohwein*, bynajmniej nie zaprzeczałem. Dowodził, że cholera nie jest zaraźliwą i że w usposobieniu człowieka, a nie w powietrzu jest przyczyna choroby; utrzymywał, że kto się cholery nie lęka, nigdy jej nie dostanie; aliści pośród tych dowodzeń i objaśnień doktor medycyny i chirurgii, Borstenmaus, nagle skrzywił twarz swoją, krzyknął i upadł na ziemię ze wszystkimi oznakami najgwałtowniejszej cholery.

Byłoby jakoś nieprzyzwoicie, gdybym szano-

wnym czytelnikom opisywał szczegóły cholery; jest to słabość nietylko w skutkach niebezpieczna, ale i w swym przechodzie bardzo nieporządna; — raczej więc w skróceniu powiem, że nadbiegło pięciu lekarzy i, chociaż nie metodą dr. Borstenmausa, ale własną, przecież kolegę od śmierci uratowali.

Już wieczorem opuściliśmy z prezydentem Krotoszyn. Na drodze prezydent ciężko skarżył się na ból głowy, jam milczał, ale czułem, że cholera chwytła mnie po wszystkich członkach. O 1-szej z północy stanęliśmy w Ostrzeszowie; o 7-ej rano moje okropne przecucie zamieniło się w rzeczywistość. Dostałem cholery! I tu znów należy skrócić mój opis; jedno tylko westchnienie mimowolnie wyrывa się z piersi: »o Maryniu, ileż ja dla ciebie cierpiełem!...«

Znudziłbym na śmierć szanownych czytelników, gdybym wszystkie bolesne szczegóły moich następnych jeszcze przypadków opisywał i oddaliłbym się od głównego przedmiotu; wszakżeż roz-wlekłością już dotąd niemało nagrzeszyłem. Ale tak to zawsze bywa, że ten, kto cierpiał, o naj-drobniejszych pamięta okolicznościach i wszystkie każdemu powtarza. Przypomni sobie czytelnik, że po odebraniu złodziejskiego wyznania Knewkowskiego *pospiesznie* rozpisywał listy powtórne i że je sam na pocztę odnosił. Otóż przy końcu kwietnia, gdy po ciężkiej cholerycznej chorobie z łóżka pierwszy raz powstał, w przeciągu kilku dni odebrałem odpowiedzi: z konsystorza, że na list, do jakiejś Maryni pisany pod kopertą konsystorza

poznańskiego, żadnej nie mogę otrzymać wiadomości, bo konsystorz nie wie, gdzie Marynia mieszka i nie trudni się takim pośrednictwem, dziwi się nadto i t. d. Regencya poznańska odpisała, że pieniędzy nie wypożycza; bankier warszawski upewnił, że nie ma nic przeciw przeprowadzeniu zwłok starosty Bawolskiego, a Marynia, zwracając mi prośbę do konsystorza, czyniła wyrzuty o roz-targnienie z winy zapewne zajęcia się pięknościami Wielko-Polski. Każden się z czytelników bardzo łatwo domyślił, że przez zbyt ni pośpiech a może i przez gwałtowność gniewu na Knewkowskiego napisy na kopertach najniezwyklej pozamienił, ale nikt sobie nie wyobrazi mojej nowej stąd boleści. Nie przytoczę szczegółów, jak pocziwy prezydent, z prawdziwym moim zmartwieniem, za pośrednictwem cholery przeniósł się do lepszego żywota; jak mój Mateusz skutkiem próżniactwa zadał się w romans z córką sąsiedniego kuśnierza, z czego wynikły hałaśliwe nieporozumienia a w końcu ślub głupiego Mateusza; jak Knewkowskiego uchwycili, a ja rad nierad, trzy razy do sądu stawać musiałem; pomnę, że regencya poznańska wzbraniała się wydać pozwolenia na poruszenie nieboszczyków podczas lata, porę zimową ku temu oznaczając; że do Poznania osobiście jechać byłem zmuszony; że w Poznaniu miałem zatargi wekslowe i t. d. i t. d.

Dopiero po wielu i wielu nieprzyjemnościach, zmartwieniach, zgryzotach i chorobach, po długich korowodach, przy końcu miesiąca września odzyskałem, zgromadziłem i posiadałem to wszystko, co do przewiezienia zwłok starosty było potrzebne.

Uszczęśliwiony spełnieniem się moich przedostatnich życzeń, przybywam 2-go września do ks. gwardyana i składam wszystkie dowody i zezwolenia, i proszę o owe nieszczęsne zwłoki Jana Kazimierza Wojciecha trzech imion Bawolskiego. Ks. gwardyan winszuje mi pomyślnego skutku tylu kłopotów i wyprawia ze mną znanego mi już ks. Bonifacego i dwóch braciszków. — Wchodzimy do sklepów kościelnych, wnoszą za nami dwie trumny poznańskie; pytam się, gdzie stoi trumna z Bawolskim, ks. Bonifacy odpowiada, że nie wie, — dwaj braciszki odpowiadają, że nie wiedzą. Zwołują ks. Kajetana, ks. Franciszka, ks. Anzelma, samego nakoniec ks. gwardyana, potem starego organistę, kilku dziadów ze szpitala, ale nikt o trumnie Bawolskiego nie wiedział. Ogarnia mię rozpacz; — z latarnią w ręku przebiegam wszystkie sklepy, czytam każdy napis; trumien do tysiąca, ledwo że mi oczu na wierzch nie wyjdą, zapach trupów razi mnie gwałtownie, dwanaście godzin pracy mija bezskutecznie!!! Nie zważając na zapadłą noc, na oddalenie się księży, w towarzystwie tylko już jednego laika zaczynam na nowo śledztwo; każdą trumnę znacę kredą, abym drugi raz do niej nie powracał; trzech wojewodów, siedemnastu kasztelanów, czterdziestu stolników i podstolich, jedenastu podkomorzyców, kilkudziesięciu wojskich, podczaszy, cześników, dwóch pisarzy koronnych, jednego krajczego, trzech skarbników, siedmiu chorążych, do trzydziestu starostów i w trójnasób starościców, znalazłem i wyczytałem, lecz ani śladu

o Janie Kazimierzu Wojciechu trzech imion Bawolskim.

Nie wiem, co się ze mną stało, ale nazajutrz, gdym około południa oczy otworzył, znajdowałem się w celi klasztornej, na łóżku zakonnika. Dr. Borstenmaus stał przy mnie z wielką flaszką aromatycznego spirytusu, a ostrzeszowski balbierz, smarując przy oknie wizykatorę, przypatrywał się zgęszczonej krwi na miednicy. Jakby przez mgłę zacząłem sobie przypominać dzień wczorajszy. Mówiono mi, że nad ranem zasłabł, wychodząc ze sklepów grobowych; że mi zaszkodziła bezsenność i złe powietrze, że to był tylko lekki napad uderzenia krwi do głowy, że niezadługo będę zdrow i t. d.

Minęły trzy tygodnie po tym przypadku, paraliżem utracona władza w prawej ręce i w prawej nodze, dzięki mej młodości, zupełnie powróciła. Siedziałem na ławeczce przed klasztorem, rozmawiając z ks. Bonifacym.

— Trudna rada, potrzeba, ażebyś sobie JW. Pan wyperswadował; mamy wprawdzie ślad a nawet i dowody, bo dziadek Grzegorz bardzo dobrze pamięta pogrzeb ś. p. starosty i wie naprzykład wszystkie szczegóły: że starosta jadąc z Przementu, gdzie ks. opata brata swojego odwiedzał, tutaj na popasie zasłabł; że umarł w wigilię św. Jana, że go pochowano dopiero za tydzień; że nie szcędzono kosztów za duszę nieboszczyka, bo i dziady po całkowitej złotowce dostały; — ale cóż, kiedy go teraz w żaden sposób wynaleźć nie można. Albo to na jednej trumnie brakuje blachy z napi-

sem? — któż tam w sklepieniach grobowych upilnuje złodzieja! — kiedy już taka wola Boska, aby tutaj ś. p. starosta spoczywał, nie można się sprzeciwić; najgorzej kłopot dla ks. gwardyana względem tych pieniędzy, które JW. Pan do rąk moich złożyłeś. — Ks. gwardyan jakoś się pośpieszył...

— Mój księżę Bonifacy, jabym drugie tyle zapłacił, gdybym z próżnemi trumnami na Podole nie wracał; nie wiesz, szanowny zakonniku, ile to światowych okoliczności związało się z temi nieodszukanemi zwłokami starosty.

— Drugie tyle!?... — mruknął pod nosem ks. Bonifacy, i mocno się namyśliwszy poszedł do sadu, gdzie się znajdował ks. gwardyan przy zbiorze zimowych jabłek sztetynów.

Wieczorem tegoż samego dnia ks. Bonifacy miał długą sam na sam ze mną naradę; cęła, którą od czasu mojego ostatniego przypadku zamieszkiwałem, była położoną przy głównym korytarzu, często więc który z zakonników lub z klasztornej czeladzi obok drzwi moich przechodził; natenczas ks. Bonifacy mowę swoją wstrzymał a nawet po kilka razy wychodził patrzeć, czy nas kto nie podsłuchuje. Cośmy uradzili, cośmy z sobą rozmawiali, prócz wyrazów ks. Bonifacego: »niech Bóg broni żadnego dygnitarza! — przepraszam ciekawych czytelników, więcej wyjawić w tem miejscu nie mogę, bośmy sobie przyrzekli wzajemnie najściślejszą tajemnicę, a gdy później przez klótnie kobiet ostrzeszowskich zostaniemy zdradzeni, już wtenczas nie moja w tem wina ani ks. Bonifacego. Lecz ażeby

na teraz odwrócić uwagę czytelnika, opowiem małą potoczną treść historyjkę.

Był przy pewnym klasztorze szewc, zawołany pijak; imię mu było Wojciech, ludzie go nazywali kulawy Wojciech, bo nieco chromał na nogę. On tedy szewc robił za ogólnem, rocznem wynagrodzeniem z dawanego mu rzemienia obuwie dla wszystkich zakonników i dla klasztornej czeladki; latał za kieliszek wódki stare chodaki dziadów ze szpitala; rzadko kiedy podejmował się roboty na miasto, chyba dla bardzo nabożnego człowieka. Mówiono wprawdzie, że z miasteczka nie dawali mu roboty, bo trudno się było doczekać, a i przyszwy często potrzeba było u żyda arendarza wykupywać. Złośliwi twierdzili, że jego dratwy w tydzień pękały, że zelować nie umiał, ale to wszystko były bajki, bo, pomijając drobne przywary, kulawy Wojciech do rzędu dzielnych szewców należał. Trzydzieści lat posługi dla klasztoru upłynęło Wojciechowi; w niezwrótnej czasu kolei skończył 65-ty rok swojego życia i już otrzymał drugi nowy przydomek, bo wołano na niego »stary kulawy Wojciechu«, gdy na początku sześćdziesiątego siódmego roku pocziwego żywota, na chrzcinach u organisty Bartłomieja bies go zaczarował, albo też złe go urzekło, że się zakochał w owdowiałej szewcowej Małgorzacie, w babie tylko o rok od niego młodziej, na całe miasteczko słynącej z wymowy, nie nazbyt delikatnej a mocno *dobitnej*. Krótko trwała konkurencya kulawego Wojciecha o rękę pani Małgorzaty i w ostatni dzień kusaków tego samego roku, kiedy umarł pan burmistrz, po-

brali się kochankowie; ślub dawał ks. kaznodzieja, wesele odprawiło się u organisty. Ks. gwardyan przez wzgląd na trzydziestoletnie zasługi Wojciecha pozwolił nowożeńcom zamieszkać izbę w szpitalu, będącym za obrębem murów klasztornych. Pierwsze początki małżeństwa były bardzo przykładne; — ale niezadługo, gdy Wojciech gorzałki dla swej połowicy czy żalował, czy nastarczyć nie mógł, wszczęła się pomiędzy małżonkami kłótnia, obraza Boska z dnia na dzień powiększała się, dyabeł też na złą sprawę ustawicznie czatował, — i jednego dnia po wschodzie słońca dano znać ks. gwardyanowi, że Małgorzata starego Wojciecha na śmierć zraniła. Pomimo, że miejscowy chirurg wszelkich dokładał starań, na trzeci dzień po owem małżeńskim nieporozumieniu stary kulawy Wojciech przeniósł się na wieczny spoczynek, wyznając przed zgonem, że Małgorzata śmierci jego nie winna. Działo się to przy końcu września a w początku października, postawiono zwłoki kulawego Wojciecha w przedsionku grobowych sklepów klasztoru, bo pod ten czas był siew jesienny, konie mieszczan nie były czasowe a klasztorne z kwesty nie powróciły; nadto grabarze, żywiąc jakąś dawną o odnowienie naprawy butów urazę do nieboszczyka, gdy Małgorzata nie miała pieniędzy, darmo grobu kopać nie chcieli — z tych tedy przyczyn i przez wzgląd na poczciwość zmarłego ks. gwardyan wyrzekł był: »postawić go tymczasem w przedsionku sklepów grobowych«.

Na tem koniec i nie koniec historyjki; ale mnie się dłużej drobiazgami bawić nie należy,

kiedy główna sprawa nie ukończona, a więc *a capite*.

Żelazna wola człowieka łamie wszelkie trudności. Dwudziestego piątego października odnowiwszy poszukiwania, mając tylko do pomocy starego organistę, już o szarej godzinie wynalazłem wreszcie zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha trzech imion Bawolskiego i tegoż dnia jeszcze szanowne szczątki starosty zapakowaliśmy w trumny poznańskie. Nazajutrz ciało było wystawione na katafalku, odbyło się nabożeństwo, wymowne usta ks. kaznodziei ogłosiły mieszkańcom ostrzeszowskim chwalebny żywot starosty, wymieniły najwyraźniej przyczyny przeprowadzenia zwłok nieboszczyka do Jeżowej Góry, nie pominęły nauki generalnej dla zgromadzonych słuchaczy i o 2-giej z południa — o moja niewymowna radości! — nieboszczyk Bawolski ulitował się wreszcie nade mną i opuścił kościół ostrzeszowski. Przez miasto jechaliśmy wolno, bo cechy i bractwa (nie mając nic lepszego do czynienia) wyprowadzały starostę aż do figury; ale gdy pokłonem chorągwi ostatnie starości oddano pożegnanie, gdyśmy się z przed oczu ostrzeszowskiego obywatelstwa spuścili za górę, krzyknąłem: »ruszaj, co koń wyskoczy!« i rzeczywiście pędziliśmy z Bawolskim daleko gwałtowniej, aniżeli szybkie sztejnkierki z poczty warszawskiej. Konie, które w miejsce skradzionych kupilem w Gostyniu, rozprzągłem na dwie furmanki; jedną parą powoził mnie lokaj Jan, drugą parą Mateusz wioził Bawolskiego.

— Panie! konie ciągle parszają, będą nam

radzi w Jerzowej Górze — mówił Mateusz, gdyśmy na noclegu stanęli; — żeby tylko ta baba słowa swojego dotrzymać nie chciała.

— Jaka baba?

— Żona tego nieboszczyka, którego wieziemy.

— Cóż się to ma znaczyć?... skąd tobie przychodzi ta bezecna śmiałość, abys panią starościnię babą nazywał?

— E! proszę wielmożnego pana; toćże ja nie o pani starościnię myślę.

Porwawszy Mateusza za kołnierz, trzęsąc się z przerażenia, odprowadziłem go na stronę.

— Mów powtórz, od kogo i co słyszałeś?...

— Bez urazy pańskiej, jeszcze wczoraj na wieczór organista Wojciechowej powiedział pod sekretem, a Wojciechowa mnie i Janowi dzisiaj powiadała, że wielmożny pan nie mogąc znaleźć...

— Milcz! niechaj te wyrazy przez usta twoje nie przejdą. Janie! Mateuszu! słuchajcie! oto każdy z was ma tymczasem po 100 złp., później dam każdemu z was jeszcze po 100 złp., ale milczenie bezwyjątkowe, pary z ust nie wypuścić.

»Dziękujemy wielmożnemu panu« odbierając pieniądze, wymówili obydwaj z pokłonem; Mateusz zaś dodał, — »ale jak ta baba słowa dotrzyma?

— Jakiego słowa?

— Ona mówiła, że na wiosnę odwiedzi grób mężowski; wprawdzie gadała po pijanemu, aleć ona nigdy trzeźwą nie jest i może po pijanemu swój zamiar wykonać.

— Już ja na to poradzę; wy tylko, powtarzam, pary z ust nie wypuszczajcie.

Gdyby nie list, rano na pocztę odesłany, donoszący, że już wiozę starostę, z pewnością byłbym powrócił do Ostrzeszowa i zaniechał przeprowadzenia zwłok starosty; ale stało się!... Więc napisałem tylko do ks. Bonifacego stosowne ostrzeżenie, z którym natychmiast umyślnego wyprawilem. Dalsza podróż nasza nie odbyła się bez pomniejszych przypadków; za Kaliszem w mieście Turku złodzieje już zajęli z bryki starostę, mniemając, że to jest skrzynia z towarami — szczęściem że się Mateusz zawczasu przebudził; w Łowiczu zła mało się koło pod starostą; w Warszawie wskutek fałszywej denuncyacji szukając koronek brukselskich, otwierano trumnę na komorze; w mieście Piaskach za Lublinem pijany Mateusz wywrócił brykę i zwierchnią trumnę rozłupał. Ale że wszystko na świecie ma swoje granice, więc też i moje utrapienia skończyły się, gdy o milę przed Kamieńcem podolskim proboszcz Jeżowej Góry zwłoki ś. p. starosty Bawolskiego pod swoje odebrał rozkazy. Tego samego dnia jeszcze stanąłem w Jeżowej Górze. Wdzięczność starościny, tkliwe przywitanie Maryni, szczerze uściski starościca, były dla mnie miłą za wszystkie doznane nieszczęścia nagrodą, ale o tem później.

Co tylko było po mieczu i po kądzieli z domem Bawolskich spokrewnione, co tylko zaszczycało się przyjaźnią, sąsiedztwem i znajomością, co tylko rościło prawo do uczuć obywatelskich, nakoniec co tylko żywiło iskrę ciekawości, wszelkiego

rodzaju ludzie, rozmaitego stanu i wieku, płci obojej, kilkutyśięczna publiczność zgromadziła się w dniu 2 grudnia na granicy obrębu miasta Kamieńca Podolskiego. Starościna, w grubą żałobę przybrana, przybyła w samo południe.

Po trzech godzinnem oczekiwaniu, ukazał się z poza pagórka ośmiokonny karawan, gorejącami otoczony pochodniami, a postępując zwolna, stanął wreszcie w oznaczonem miejscu. Ks. sufragan w asystencyi licznego duchowieństwa odmówił ciche modlitwy, poczem szmer publiczności zamilkł jakoby instynktem, a na dwułokciowe ruszowanie, czarnem okryte suknem, wystąpił znany powszechnie, czcigodny, wspaniałej postaci marszałek i w następujące odezwał się słowa:

»Przeacnie zgromadzeni panowie obywatele!«

»Upredzając Iżę w żalu nieutulonej rodziny, stawam pośród was i na krańcu obrębu miasta Kamieńca Podolskiego mową moją, imieniem obywatelstwa, przyjmuję zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha starosty Bawolskiego. Są chwile w życiu ludzkim, gdzie ciężar powinności najśmielsze przytłacza siły, gdzie głos obywatela, wsiąkając w potęgę uczucia, rozplywa się i niknie na obszarach zbolalego serca. Taką jest obecna chwila i dla mnie; oto są zwłoki starosty Bawolskiego, oto ja jestem wolą waszą powołany do złożenia przedwstępного holdu nieodżałowanej pamięci niegdys naszego współobywatela, a dzisiaj już niebieskich sfer mieszkańca.«

»Jeżeli w powodzi cnót obywatelskich szlachetne znamienitych pamiątek imię nieugiętą losu

rzeczy ludzkich zmianą w smutne przechodzi zapomnienie, czujemy rozdzierającą boleść, że przeszłość nie jest naszym udziałem; ale kiedy ta strata, bluszczem zwycięstwa owiana, na całuniej familijnej miłości powróconą zostaje, zaiste pierś nasza chlubną rozpięta się dumą, że ciebie niezrównana w obowiązkach żono, do naszych ozdób obywatelstwa liczymy! Tak jest, panowie! j. w. staroście i tobie, przeacny, tutaj obecny młodzieńcze! (mówca na mnie spojrział, jam się uklonił) winni jesteśmy, że kość kości naszych, proch prochów naszych, będzie spoczywać na naszym łonie. Ty, pani, zarzewiem małżeńskiej miłości, — ty, młodzieńcze, stałą gorliwości przewagą, na skarbieńie praw spodziewanych związków popartą, wielkiego dokonaliście dzieła!... Tam uwielbienie! tu zaszczyt! w równym zyskacie wymiarze; nam radość, że zwłoki ś. p. starosty, zgasłe przyjaźni szczytki, w sercach odrodzonymi zostały!...«

»Płacz wielko-polska ziemico! żeś postradała klejnot, w wnętrzościach twoich złożony, ale nie wzbraniaj nam radości nad odzyskanym skarbem!«

»O drogi cieniu starosty! od którego duch na błękitnej krawędzi życia nowego pojawu zawidnił, rozpatrz się w naszych sercach, zajrzyj w tajniki uczuć naszych i przyznaj, że w rozdętej piersi cześć i sława nigdy dla ciebie nie zagasną, a czego ja częstką słabego umu i słowem żalu objąć nie byłem zdolny, usłyszysz pokrótce w mowie wielmożnego sowietnika, niegdys szwagra two-

jego, któremu z kolei miejsca ustępuję, ponieważ i ja tylko śmiertelnym jestem człowiekiem!»

Po marszałku istotnie zabrał głos wielmożny sowietnik, którego trzech żon poprzedniczka była rzeczywiście przyrodnią siostrą nieboszczyka starosty. W mowie sędziwego sowietnika wdzięczność osobista główną treść stanowiła, a jedynie zakończenie na wzmiankę z mej strony zasługuje.

Sowietnik zapewnił słuchaczy, że, gdyby nie dokuczliwy mróz, złożyłby obszerniejszy obraz swoich wdzięcznych uczuć, i żałował, że nie w porę letnią zwłoki starosty sprowadzono. Po sowietniku pojawił się na żałobnej trybunie z czarną hiszpańską bródką blady, szczuplej budowy podkomorzyc, jak się później dowiedziałem, mój współzawodnik o rączkę Maryni. Mówka jego należała do najszczytniejszych, jakie kiedykolwiek słyszałem; wszakże pomimo wielu próśb nie mogłem jej później do przepisania uzyskać; zazdrość mówcy-poety pozbawiła potomność najpiękniejszej ozdoby literatury pogrzebowej; spamiętałem tylko sam początek, wstęp, i składam go do skarbnicy ojczystego języka«.

»W nieprzejranej strzeni czasów istnienie jednego człowieka jest jakoby niedziałką, równającą się istnieniu jętki, a jednak jakże olbrzymią jest jego misya, jeżeli odwiekujemy skrzynię rozmysłów, które jego zamknia mózgowa samorodnym wyłonieniem po świecie rozprysła«.

»Chłonią się mocarstwa w kończynach swoich, oceany nie przełamiają ziemnych krawędzi, które im je manifestowała usamowolniona roda, lecz

NIE NISZCZYĆ KSIĄŻEK

potęga umu jednego człowieka wszech świat prze-walczyć zdoła, bo w swej emancypacji do najod-daleńszych krańców bezmiaru opiera się swą ja-źnią na kolosalnej woli ducha i silną prawicą sa-mego sięga bóstwa; targa bezwiednie przesady za-szarzonych wieków, łamie zapory bezumu swoją silną wiedzą, kruszy gmachy wyrojonych mamidel *mythu* i depcze kamienną stopą fascynacye prze-tętnionych olimpiad niewiedzowym usankcyono-wane wymysłem. O siło i tego tworzonnego du-cha! umie jaźni mojej! oby wypryski twojej wie-dzy rozżarzyły tłono w cieśniach piersi żelaznia-łych! oby rozpromieniły iskry istnienia mojego, oby wyłoniły śmiałą myślość moją, abym ją roz-głosił na stworze świata i godnie z mojej dzisiej-szej wywiązał się mysy!...«

Podkomorzyc zawstydził sowietnika; mówił przynajmniej pół godziny a mówił z takim zapa-łem, że aż nos jego był w ambarasie o pomoc najrychlejszą. Słuchacze jednogłośnie przyznali mu dnia tego palmę pierwszeństwa.

Tak trzema mowami uczczone na wstępie zwłoki ś. p. Bawolskiego w najparadniejszej pro-cesyi ruszyły dalej i już wieczorem złożone zo-stały na katafalku w kościele farnym Kamieńca Podolskiego.

Przez trzy dni odpoczywał ś. p. Bawolski w Kamieńcu Podolskim; nabożeństwa żałobne były nieustanne, kazań żałobnych sześć a głosów oby-watelskich siedem naliczyłem. Możliwy dwa tomy wydrukować pochwałami, przez te trzy dni wy-głoszonymi. Czwartego dnia, to jest 6-go grudnia,

wyprowadzono starostę z Kamieńca z równą jak przy wprowadzeniu procesją. Siódmego grudnia przyjmowano starostę na granicy niegdyś dóbr jego i w tymże samym dniu wprowadzono go do kościoła w Jeżowej Górze. Tutaj cały dzień trwały obrzędy, mów było bez liku: komu się tylko co przyśniło, wstępował na katedrę, umyślnie ku temu przyrządzoną. Przy tej nawalnicy rozdrażnionego języka miał miejsce bardzo komiczny przypadek. Jeden z chwalców nieboszczyka — nie pomnę, świecki czy duchowny — rozpoczął rzecz temi słowy:

»Po czternastoletniej nieobecności skądżeś to przybył starosto?...« Głos mówiącego zatrzymał się po tem zapytaniu; mojemu, codziennie pijanemu Mateuszowi, w ową chwilę stojącemu pod chórem, zdawało się, że należy odpowiedzieć, a więc donośnie zawołał: »Z Ostrzeszowa, panie dobrodzieju! ja go wiozłem, ale mieliśmy turbacyi niemało, niżeli przyjechaliśmy do Jeżowej Góry«. Wszyscy się serdecznie uśmiechali, ale ja rozumiałem, że ze wstydu w ziemię się zagrzebię, bo truteń, wyręczając mowcę, zaczął dalej coraz głośniejszą opowiadać historję moich kłopotów, umarwień i nieszczęść. Z kolatorskiej przy wielkim ołtarzu ławki, w której obok Maryni za duszę nieboszczyka mówiłem pacierze, zanim się przedarłem przez nabity ludźmi kościół, pijanica już do miasta Turka zajechał, gdzie to złodzieje starostę wykradli.

Piętnastego grudnia nakoniec przystąpiono do wstawienia trumny w wydrążony filar kościoła.

Dwunastu obywateli zaniosło na swoich barkach zwłoki ś. p. Jana Kazimierza Wojciecha starosty Bawolskiego w miejsce ostatniego spoczynku; wsuniono trumnę w szczupły otwór; księża odspiewali *requiem*; mularze już podnieśli kielnie, aby leconem wapnem zamurować skrytkę nieboszczyka; gdy wystąpił zapłakany starzec w podszarzałym kontuszu i ostatni do zmarłego treściwie przemówił:

»Jaśnie wielmożny starosto!«

»Towarzysz i trzydziestoletni sługa twój, Józef Dwojno, estymując cię przez całe życie najwierniejszym affektem, przynosi do grobu twojego słowa żałoby osieroconego serca. Jeżeli jest prawdą, o czem nie wątpię, że *Omnipotens Deus*¹⁾ sprawiedliwość po śmierci wymierza, bezzawodnie spotkała cię, panie starosto, niejedna już na tamtym świecie plaga, ale zarazem i nagroda minąć cię nie mogła, bo obok wielu ułomności grzesznego człowieka tę miałeś zasługę, żeś nigdy ubogim nie gardził szlachcicem. Wojciechu starosto! Józef Dwojno śle ci ostatnie pożegnanie; bądź zdrów, do zobaczenia«. — Otarł łzę i machnął ręką na mularzy, którzy posłuszni skinieniu jęli się do pracy. W godzinę później błyszczwały na lewym filarze kościoła w Jeżowej Górze olejno malowane rysy Jana Kazimierza Wojciecha, trzech imion Bawolskiego, — czarna marmurowa tablica z napisem pochwalnym, — w białym alabastrze

¹⁾ Wszechmocny Bóg (łac.).

wyrznięty herb Bawolskich, — poniżej klepsydra, kosa, łopata, — a u samego dołu popiersie aniołka ze skrzydłami.

Nieutulona w żalu rodzina, grono licznych przyjaciół, księża i domownicy udali się do dworu, aby pochwały nieboszczyka powtórzyć; organista zamknął kościół, i zdawało się, że życzenia starościny w zupełności ziszczone zostały i że prawo moje do odebrania nagrody za tę, familii Bawolskich wyświadczoną przysługę, jest już niezaprzeżone, — czyli, że po przyzwoitym upływie czasu, piękną Marynię przed ślubny zawiodę ołtarz. Taką to była moja uzasadniona nadzieja w dniu 15-go grudnia i tak też wszyscy sądzili, lecz nie tak było zapisaniem w księdze moich przeznaczeń.

W dzień drugi świąt Bożego Narodzenia Balbisia ze swoim mężem oświadczyli mnie starościnnie o rączkę jej wnuczki z wszystkimi formułkami, to jest: przyjechali po południu; koni wyprzęgać nie dozwolili; przyjechali wystrojeni; rozpoczęli rozmowę o potocznych rzeczach, skierowali ją z wolna do zawieranych w sąsiedztwie małżeństw; rozszerzyli się nad pociechę, gdy się córki lub wnuczki za swego życia rozporządza: oddali nieskąd pochwały przymiotom duszy i ciała panny starościanki, nadmienili, że wiek Maryni dozwala babce żądać pociechy; — potem pułkownik otwarcie wymienił moje genealogiczne, osobiste i majątkowe zalety a Balbisia, całując starościnię w ramię, wyrzekła, że właśnie w tym celu przyjechali, aby mnie oświadczyć o rękę Maryni, i że szczęśliwą będzie się mieniła, jeżeli pani starościna

proście jej brata nie odmówi, a projekt w Białosęku poczęty, spełniony zostanie. Starościna ze łzami oświadczyła, że szczęście Maryni jest jej jedynym w tem życiu celem, że nic przeciwko mnie nie ma, owszem, że mi zawdzięcza znamienitą przysługę z tylu kłopotami połączonego sprowadzenia zwłok ś. p. jej męża, i że nawet mi już dała przyrzeczenie ręki Maryni, a więc — że ostatnie słowo tylko od Maryni zależy. Przywołano Marynię; zapytana dziewica zarumieniła się, spuściła oczy i całując kolana babki oświadczyła, że szanuje jej wolę i że z wdzięcznością przyjmuje wybór babki. Nastąpiły serdeczne pułkownikostwa podziękowania: posłano po mnie konnego do Białosęku, a żem już w lasku brzozowym czekał, więc przybyłem niebawem, i znów podziękowania, całunki kolan starościny, rącząt Maryni, radość, szczęście, zamiana pierścionków; przyjechali marszałkownictwo i pan podkomorzy, wniesiono starego węgrzyna. Marszałek wypił zdrowie zaręczonych w ręce podkomorzego, podkomorzy w ręce pułkownika, pułkownik oddał kielich wracającemu z niesporów proboszczowi, ksiądz proboszcz wychylił z całą szczerością, jam nakoniec życzącym i łaskawym pełnym kielichem podziękował; brakowało tylko obecności Erazma, który w dobrach sobie oddanych, w Grzechotkach, ciężkiej uległ niemocy. Dziewiątego stycznia jako w dzień imienin wnuczki, starościna zaprosiła całe sąsiedztwo, niejako na powtórzenie zaręczyn. Dwunastego stycznia już ogłoszono zapowiedź, bo starościna zwyczajem prababek naszych nie w tiulach, nie w ga-

zach dawała, ale w klejnotach, srebrach stołowych bieliźnie, w całych sztukach jedwabnych materyi, w inwentarzu gospodarskim żyjącym i nieżyjącym, co wszystko już dawno nagromadziła i dla swej jedynej Maryni przygotowała. Dziewiętnastego stycznia wyszła druga zapowiedź; 24 stycznia Marynia suchotami pościła: 24 odbyła spowiedź i 26 stycznia już zaczęły ją panny gerderobne do ślubu ubierać, gdy do pokoju starościny wszedł zasmucony proboszcz z doniesieniem, że przyjechał pan asesor z doktorem i stanęli na plebanii i że jutro mają otworzyć grób ś. p. starosty, bo w tym grobie leży nie ś. p. starosta, ale *jakiś* szewc z Ostrzeszowa, zamordowany przez żonę, o którym to morderstwie sądy pruskie kryminalne zawiadomione, gdy zamordowanego w miejscu popełnionej zbrodni nie znalazły, wezwały za pośrednictwem posła dworu berlińskiego sądy z gubernii podolskiej o śledztwo zamordowanej osoby, o wykrycie, jakiego rodzaju były rany, zadane owemu szewcowi, i t. d.

Dalszy ciąg mej powieści znajduje się w aktach sprawy przeciw mnie wytoczonej a obecnie w apelacji znajdującej się, bo starościna do głębi serca obrażona, nietylko że mi wnuczki nie dała, ale nadto, nie chciwością ale zemstą powodowana, wytoczyła przeciw mnie proces o 17.000 złp. wyłożonych na kosztą pogrzebu. Zwłoki kulawego Wojciecha szewca wyrzucono na cmentarz; otwór w filarze kościoła w Jeżowej Górze jest jeszcze niezamurowany.

Donosił mi pułkownik K***, że marszałek ze

zmartwienia, iż szewca pod Kamieńcem Podolskim mową swoją witał, przez dwa miesiące na żółtaczkę chorował i że z licznych mowców tego pogrzebu każdy, jak może, wypiera się zaszczytu krasomówstwa na pogrzebie poczciwego szewca Wojciecha.

Wyrok ostateczny podam do wiadomości moich czytelników, skoro mi ogłoszony będzie; ale mój nader szanowny obrońca twierdzi, że poprowadzi jeszcze tę sprawę najmniej lat trzy.



884-93. II / B

~~BIBLIOTEKA DRUŻYN
Z. H. P.
w Białymstoku.
L 43~~

~~ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH
Rzeczypospolitej Polskiej
Koło w Białymstoku
Imię 192 r.~~

~~W odpowiedzi uprasza się powo-
tywać na powyższą listę.~~

INWALIDÓW WOJENNYCH

Anezye Władysław

Imię 192 r.

W odpowiedzi uprasza się powo-
tywać na powyższą listę.

MOTYL I GĄSIENICA.

— Moja dobra gąsienico — prosił ciemno nakrapiany motylek — czy nie podjęłabyś się wychowania moich dziątek? Wkrótce się zapewne wylęgną z jajek, złożonych na tym liście kapusty, a ja czuję się tak słabym, że zapewne jutra nie dożyję. Jeżeli umrę, ktoś się zajmie mojami sierotkami? Nie mam tu nikogo znajomego oprócz ciebie; ulituj się nade mną i spełnij moją prośbę. Bądź im matką i opiekunką, a ponieważ nie mam nic do ofiarowania ci w nagrodę twoich trudów, weź chociaż ten złoty pyłek z moich skrzydeł.

— Z chęcią, mój przyjacielu, zajęłabym się wychowaniem twoich malców, — odpowiedziała gąsienica — lecz powiem ci otwarcie, że nie mam najmniejszego wyobrażenia, czem je karmić, jak się z nimi obchodzić. Wiesz o tem dobrze, że nie jestem motylem, a więc nie mając skrzydeł, nie mogę wszędzie za nimi latać, i dlatego trudno mi... Ale cóż to jest?... ty mi nic nie odpowiadasz?... nie słuchasz nawet!... co ci się stało?

Lecz motyl, jakby głuchy i nieczuły na wszystko, co go otaczało, siedział bez ruchu na ździebelku trawy.

Gąsienica zbliżyła się ku niemu niespokojnie, zaledwie jednak przypatrzyła mu się bliżej, krzyknęła z przerażeniem:

— Co to jest? on się nie rusza! nie odpowiada mi wcale... może już nie żyje?... Motylku! motylku! — dodała, wstrząsając go pyszczkiem — no, wstańże przecie... Ależ on naprawdę umarł... Co tu teraz robić? Oto kłopot!... niedość, że mi zostawił na karku z kopę przyszłych potomków, ale jeszcze muszę się zająć jego pogrzebem. Cóż ja teraz pocznę biedna? Niepodobna sierot opuszczać... nie godzi się nawet... Oj, biedaż mi bieda... otom sobie napędziła kłopotu! To jeszcze teraz nie, ale jak się malcy wylęgna, dopieroż będę miała zgryzoty!... Toż to skrzydlate, zaczną fruwać... nie zechcą mię słuchać... rozlecą się po świecie, a ja przecież nie mogę latać za nimi, chociażbym miała najlepsze chęci po temu!

Tak wyrzekając, gąsienica zajęła się przecież skrzętnie ¹⁾ pogrzebaniem motyla, a potem zmęczona, nad samym już wieczorem usiłowała usnąć, ale strapienie odpędziło sen od niej — przez całą noc nie zmrużyła oka, a jeżeli czasem zdrzemnęła chwilę, to natychmiast śniło jej się stadko motylków, bujających w powietrzu i nie słuchających wcale jej nawoływania.

¹⁾ Pracowicie.

Na drugi dzień z rana, skoro się tylko rozwidniło, gąsienica opuściła legowisko, postanowiwszy wyszukać kogoś, coby jej rady udzielił.

— Kogoby tu się poradzić?... Ptaka ani zaczepić, bo mógłby mnie zjeść. Zagadnęłabym zająca, który tu codzień wylega się pod krzakiem, ale on przecież po powietrzu nie lata... a zresztą przyznam się, że go nie lubię, bo mi najpiękniejszą zjada kapustę. Gdyby też poinformować ¹⁾ się u kota?... ech! to dumna figura, zapewne nawet odpowiedzieć nie zechce.

Wtem zabręczało coś w powietrzu i ogromny bąk, usiadłszy koło gąsienicy, zaczął pić rosę.

— Dzień dobry! — rzekła do niego uprzejmie gąsienica.

— A!... dzień dobry! — odmruknął bąk, przypatrując się ze zdziwieniem nieznanajomej, która go tak śmiało witała.

— Przepraszam, szanowny bąku, że cię tak śmiało zaczepiam, lecz znajduję się w niezmiernym kłopotcie, i jeżeli mi odmówisz swej światłej rady, to już chyba zamartwię się na śmierć...

— Skądże masz tak korzystne wyobrażenie o trafności rad moich, kiedy mię pierwszy raz dzisiaj widzisz? — zagadnął bąk zdziwiony.

— Stąd, że masz rozum, bo latasz wysoko po świecie i wiesz, co się wszędzie dzieje —

¹⁾ Dowiedzieć się.

odpowiedziała gąsienica — nie tak, jak ja biedaczka, która wiecznie tylko pelzam i pelzam.

— Ha! i owszem, skoro pokładasz takie zaufanie we mnie, poradzę ci z największą chęcią.

Gąsienica zwierzyła mu się ze swoich kłopotów, a bąk wysłuchawszy jej, rzekł:

— Nie jest to jeszcze tak wielkie nieszczęście, jak sobie wyobrażasz. Zdaje mi się, że będziesz miała daleko mniej kłopotu z wychowaniem potomków ¹⁾, motyla niż sądzisz.

— Otóż właśnie, że przewiduję na każdym kroku najogromniejsze trudności; naprzykład gdy się wylęgną, sama nie wiem, czem je żywić? Jak myślisz?... może najodpowiedniejszym pokarmem dla nich byłby nektar z kwiatków, a za napój rosa?

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się bąk na całe gardło — a toś się wybrała!... O pokarm nie masz się co troszczyć, wszakże go masz do zbytku dokoła siebie.

— Jakto?... przecież oprócz liści kapusty niema tu nic innego?

— O to też właśnie chodzi: będą im wybornie smakowały.

— Co? listki kapuściane motylom?... jak widzę, stroisz sobie ze mnie żarciki.

— Nie jestem tak złośliwy i źle wychowany, żebym ośmielił się żartować z poczciwego stworzenia — odrzekł bąk poważnie —

¹⁾ Dzieci.

ale jak też myślisz? co się z tych jajeczek wylęgnie?

— Zabawne pytanie?! cóżby mogło się wylęgnąć, jeżeli nie motyle?

— Otóż widzisz, że nie motyle, ale gąsienice, może cokolwiek od ciebie odmienne, lecz w każdym razie gąsienice i nie więcej. Wierz mi, że nie żartuję wcale, a odkąd żyję, widziałem zawsze i wszędzie, że z jaj motyli wylęgają się gąsienice.

To rzekłszy, odleciał, brzęcząc.

— Hm, wietrznik!... ¹⁾ gałdula, niesmaczny żartowniś! — mówiła gąsienica, patrząc z niechęcią za odlatującym bąkiem. — Myślałam, że to coś porządnego, a tymczasem pokazuje się, że się zawiodła na nim; żałuję tylko, że go się radziła.

Bąk nie był jeszcze daleko i usłyszał uwagi gąsienicy, gdyż odwróciwszy się, zawołał:

— Kiedy taka jesteś niewierna, to dowiedźże się jeszcze o tem, że i ty sama przemienisz się w motyla.

— Co co?... a to impertynent!... ²⁾ jeszcze natrzęsa ³⁾ się ze mnie... Musiałeś mię podsłuchać, jak nieraz zazdrościłam skrzydełek ptaszkom i motylkom, i teraz szydzisz sobie ze mnie.

— Zapewniam cię — odrzekł bąk, pod-

¹⁾ Lekkomysłnik.

²⁾ Naśmiewa się.

³⁾ Niegrzeczny, brutal.

latując bliżej — że mówię szczerą prawdę: wszak sama dopiero co przyznałaś mi, że latając po świecie, mogę więcej wiedzieć od ciebie, która wiecznie pelzasz.

— Pomimo to nie jestem znowu tak ograniczoną¹⁾, jak sądzisz — odpowiedziała zadana gąsienica — i mam chociaż tyle rozsądku, że potrafię odróżnić podobieństwo od niepodobieństwa. Patrz na mój grzbiet pręgowany; spojrzuj na to mnóstwo nóg, a potem powiedz, czy pomiędzy mną a motylem zachodzi choć najmniejsze podobieństwo i czy nim kiedykolwiek zostać mogę?

— Gdy zostaniesz motylem, przekonasz się, że powiedziałem prawdę; dziś nie myślę dłużej sprzeczać się z tobą. Bywaj zdrowa!

Gąsienica nawet nie odpowiedziała na pożegnanie, tak bardzo była urażona.

W kilka dni później, kiedy jednego poranku chciała jajeczka motyle obmieść z kurzu, stanęła, przejęta największym zdziwieniem, albowiem spostrzegła pośród nich kilka drobniuchnych robaczków, prawie zupełnie do niej podobnych.

Zdziwienie zamieniło się w wstyd, gdyż przypomniała sobie, że jej to bąk przepowiedział, a ona się tak niegrzecznie z nim obeszła. Wkrótce jednak, zapominając o swym nierozsądku, zajęła się małymi gąsieniczkami; wyszukała dla nich najsoczystszych i najdelikat-

¹⁾ Mający mało rozumu.

niejszych listeczków, a trzeba wyznać, że miały szalony apetyt; zaledwie im pożywienia nastarczyć mogła.

Na drugi i trzeci dzień wylęgła się reszta gąsienic; młode rosły niezmiernie szybko i wkrótce dosięgły wzrostem swej opiekunki. Stara krzątała się koło nich z prawdziwie macierzyńską miłością, ale nieszczęściem zdrowie jej pogarszało się z dniem każdym: czuła jakieś dziwne odrętwienie, wielką skłonność do snu i pewna była, że wkrótce umrze.

Zastraszona nietyle śmiercią, ile obawą osierocenia młodych wychowanek, zwołała je do siebie, a zasiadłszy w środku liścia kapuścianego, tak do nich przemówiła;

— Kochane dziatki! czuję, iż opuszczę was niezadługo; widzicie, że już prawie nie mam siły utrzymać się na nogach; nadzwyczajnie mi przykro zostawiać was bez żadnej opieki, lecz na nieszczęście nie znam nikogo, komu bym was powierzyć mogła, i z tej właśnie przyczyny śmierć mi będzie stokroć boleśniejszą.

— Nie troszcz się o nas, kochana opiekunko — zwołała najstarsza gąsieniczka — potrafimy sobie dać radę i prosimy cię, nie mów o śmierci, ale mów raczej o polepszeniu swojego zdrowia.

— Najstarsza siostrzyczka będzie nad nami czuwała — odezwała się inna — i zapewne nie da nam zginąć z głodu; a ty, kochana opiekunko, skoro wyzdrowiejesz, znowu nas otoczysz swoją troskliwością.

— Gdybym mogła uwierzyć temu, co mi powiadał bąk — rzekła gąsienica — tobym się wcale nie troszczyła; zapewniał mię, że się przemienię w pięknego motyla.

Gąsieniczki, pomimo smutku i uszanowania dla swojej opiekunki, nie mogły się wstrzymać od śmiechu.

— Proszę się nie śmiać — rzekła surowo stara. — I ja bylam tak nierozsądną, że mi się śmiała, gdy mi powiadał, że wy będziecie gąsienicami, chociaż waszą matką był motyl.

— Co? naszą matką był motyl? — zawołały chórem z największym zadziwieniem. — Czyż to być może?

— Nieinaczej; on to zlecił mi nad wami opiekę, i teraz wierzę mocno, że to jest prawda, iż zostanę motylem. Pamiętajcie, abyście nigdy nie szczydziły, kiedy wam coś mówią starsi i doświadczeńsi, chociażby się to wydawało napozór najniepodobniejszym do prawdy.

Małe umilkły, lecz gdy rozeszły się na spoczynek pod spód liścia kapuścianego, po cichutku żartowały ze słów gąsienicy, i prawie żadna z nich nie uwierzyła, ażeby brzydka gąsienica mogła się przemienić w nadobnego motyla.

Na drugi dzień z rana, gdy jak zwykle popelzły powitać opiekunkę, ujrzały w jej miejscu jakiś nieforemny kłęb, niby z pajęczyny uwity.

Z początku zlekły się, nie mogąc rozpoznać, co to takiego; niektóre sądziły, że stara

umyślnie tak się przebrała, ażeby je nastraszyć; lecz gdy jeden i dziesiąty dzień minał, a kłębek nie poruszał się z miejsca, były pewne, że opiekunka gdzieś powędrowała, a jakiś złośliwy bąk podrzucił ów zwitek na stracha.

Nakoniec po dwóch tygodniach pękła opona ¹⁾, okrywająca oprzęd ²⁾, a z wnętrza jego w oczach zadziwionych gąsienic wyleciał prześliczny motyl. Zadziwienie ich jednak wzrosło do najwyższego stopnia, kiedy motyl ów odezwał się do nich znajomym głosem opiekunki:

— A cóż to? czy nie poznajecie mię, malcy? Wszakże to ja wychowałam was i jestem tą samą gąsienicą, tylko przedzierzgniętą ³⁾ w motyla.

— Czyż to być może? Czyż to być może? — wołały gąsienice, cisnąc się do niej.

— O tak... tak... — zawołała z nich najstarsza — czyż po głosie nie poznajecie kochanej opiekunki naszej?..

— A więc to prawda, co nam mówiłaś, że zostaniesz pięknym motylem!... a więc i my poprzemieniamy się w motylki i będziemy bujały na skrzydełkach.

— Nieinaczej, kochane dziatki; niechże was to przekona, że bąk prawdę powiedział. Jeżeli zaś kiedykolwiek poprosi was jaki biedny, umierający motylek o opiekę nad

¹⁾ Okrycie, osłona.

²⁾ Pokrycie z przedzy.

³⁾ Zmienioną.

swemi dziećmi, tedy je pielęgnujcie z taką miłością, z jaką ja was pielęgnowałam, a tym sposobem odwdzięczycie mi hojnie wszystkie trudy, jakie poniosłam około waszego wychowania.



WIATR I KWIATY.

W niewielkim ale bardzo pięknym ogródku rosły kwiatki.

A ileż ich tam było!

Wspaniałe lilje, świetne tulipany, ogniste gwóździki, różnobarwne popielnice¹⁾, przepyszne róże, wonne rezedy, cudne fuksje i floksy; dalej złote nagietki, ponsowe, białe i różowe werbeny, pelargonje, i dzwonki, powoje, zwieszające delikatne kielichy z ponad altany, skromne fijołki i stokrotki, wyniosłe gieorginje, gwiazdziste astry, szkarłatne i odęte piwonje, wdzięczne lewkonje, balsaminy, narcyzy, ostróżki, orliki, jaśminy, kosańce, zynje²⁾, naparstnice... któżby je wszystkie wyliczyć zdołał!

A wietrzyk igrał i swawolil z kwiatkami, muskając ich piękne kielichy, roznosząc ich pyłek i pieścąc się z listkami koron.

— Odczepże się ode mnie, nieznośny swa-

wolniku — zawołał pstry gwoździk chiński; — ciągle mię potracasz, nie pozwalając popatrzeć spokojnie ani na chwilę.

— Proszę, jaki z ciebie obraźliwy jego-
mość! — zaszemrał wietrzyk — że cię cza-
sami lekko potrącę, to cię gniewa, a gdy
ogrodnik zacznie cię mustrować, osypywać
ziemią, wiązać do kija, a nawet obrywać twe
listki i kwiaty, znosisz to wszystko w milcze-
niu i pozwalasz robić z sobą, co mu się po-
doba... Odpowiedźże mi, dlaczego to, mój panie?

— Bo urodziłem się pod jego opieką —
odpowiedział gwoździk — pielęgnuje mię od
najpierwszych dni, strzeże od spieki, zimna,
suszy i zbytycznej wilgoci...

— A potem zrywa i sprzedaje, jak nie-
wolnika na targu! Wiem o tem dobrze, bo
biegam po całym mieście; już niejednego
z twych towarzyszków taki los spotkał... Niema
co mówić, śliczna opieka!

— Skoro nas wyhodował, ma najzupeł-
niejsze prawo robić z nami, co mu się podoba —
zawołał powój; — niemniej przeto za swą
troskliwość zasługuje na naszą miłość.

— I ty się także odzywasz? — zagadnął
wietrzyk. — No, jeżeli już kto, to ty najmniej
jesteś mu winien... Posadził cię tylko dla
tego, żebyś mu ocieniał altankę. Przed chwilą
przelatywałem nad sąsiednim bloniem i wi-
działem tam na okopie twego krewniaka, dziki
powój... Oho! ten dopiero swobodny, aż miło:
czolga się, gdzie chce, obwija, gdzie mu się

podoba... to po trawkach, to po krzakach, to
się wespnie na plot. Taką swobodę rozumiem,
aż miło... On nie zostaje w nieznośnej piece
nudnego ogrodnika, któryby mu poprawiał
gałęzie, zrywał kwiaty, albo zmuszał obwijać
się tam, gdzie jemu się podoba. Wolalbym nie
żyć, aniżeli przez całe życie być niewolnikiem
nieproszzonego opiekuna. Wierz mi, że się wsty-
dę za ciebie, żeś jest takim niedolęgą...

— Zapewne że to, co powiedziałeś, jest
słusznem, ale też stosuje się wyłącznie do po-
woju — rzekła fuksja. — Wistocie ogrodnik
posadził go na to, żeby mu ocieniał altanę,
i zmusza go okręcać gałązki koło jej prętów.
Mnie to wcale nie dotyczy. Ja, córa gorącego
klimatu, nie potrafiłabym żyć bez opieki ogrod-
nika. Wypielęgnował mnie w cieplarni¹⁾,
przesadził w wyborną ziemię i nieustannie
troskliwością otacza. Podlewa wodą, oczyszcza
z uprzykrzonych mszyc²⁾. I czegoż żąda w na-
grode swoich trudów? — oto, ażeby mi po-
zwoliła czasami podziwiać piękność moich
kwiatów. Czyż to nie szlachetnie i nie bez-
interesownie z jego strony? Prędzej ciebie
mógłabym uważać za nieprzyjaciela, bo nie-
raz, gdy zaczniesz dać, to aż muszę listki
kurczyć od zimna, i gdyby nie zasłona z krze-
wów, pod którymi ogrodnik mię posadził, dawno
zginęłabym z twej przyczyny.

¹⁾ Miejsce ogrzewane, gdzie hodują kwiaty.

²⁾ Drobne zielone owady, żyjące na kwiatkach.

— Ja wcale do ciebie nie mówię — mruknął wietrzyk, niekontent z odezwania się fuk-sji — ty jesteś cudzoziemka, wielka dama, wychuchana i wypieszczona, więc nie dziwnego, że nudziarstwa ogrodnika przypadły ci do gustu; ale nie pojmuję, dlaczego dziarski¹⁾ gwoździk, prawdziwa ozdoba tego ogródka, poddaje się kaprysom tego tyrana?²⁾ Czy nie mam słuszności, mój przyjacielu? — dodał, muskając pochlebnie jego kwiatki.

— O tak... tak... zapewne... masz słuszność — odezwał się gwoździk, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Bo proszę cię — mówił dalej wietrzyk z udaniem oburzeniem — dlaczego on cię wiąże do tego brzydkiego kolka, jak gdybyś nie mógł stać o własnej mocy? Czyż to przyzwoite towarzystwo dla tak ślicznego kwiatka? Zdaje mi się, że powinienby tobie samemu zostawić wybór pod tym względem, nie zaś zmuszać cię do przestawiania dzień i noc z lada niepomalowanym kolkiem drewnianym. Dziwię się twej anielskiej cierpliwości.

Gwoździk na te słowa, wyrzeczone wobec tyłu świadków, zarumienił się jeszcze bardziej niż zwykle, i rzekł z niechęcią:

— Istotnie dotąd nie przyszło mi to na myśl, i wdzięczny ci jestem, żeś na to zwrócił moją uwagę; postaram się być swobodniejszym.

— Co do mnie — rzekła wyniosła róża —

¹⁾ Wesoly i zdrowy.

²⁾ Samowolny i okrutny władca.

jestem bardzo wdzięczna ogrodnikowi, że mię podparł tyczką, i to jeszcze tak pięknie na kolor zielony pomalowaną; tak mi wygodnie opierać się na niej! A zresztą, cóż w tem uchybiającego, że się z kolkiem przebywa? Wszakże nie przestanę być różą, choć się na nim wspieram. Owszem, kocham bardzo dobrego ogrodnika, bo gdyby nie był mię zaszczerpił¹⁾, nie miałabym tak wielkich i pięknych kwiatów i byłabym dzika, jak moje polne siostry.

Bądź pewna, że mu wcale o to nie chodziło, żebyś była piękną dla siebie, ale żebyś mu ogród przystroila — rzekł wietrzyk złośliwie — a nadto przypomnij też sobie, ileś się nacierpiała z jego przyczyny. Nieraz przelatując nad wami, widziałem, jak obcinał twe gałązki i obrywał listki — czyż to nie boli? O! myślałem nieraz, patrząc na to dokuczanie: »Gdybym był tą prześliczną różą, tobym przynajmniej zranił go kolcem do krwi; niechżeby i on wiedział, co to ból znaczy!«

Róża nic na to nie odpowiedziała, tylko westchnęła ciężko. Inne kwiatki, słuchając mowy wiatru, posmutniały i pochyliły piękne główki.

A wietrzyk ucieszony, że mu się udało obudzić w kwiatkach niechęć ku ogrodnikowi, oblatywał wkoło ogródek. Wtem nadobna lilja wpadła mu w oczy; zatrzymał się chwilę przed nią i rzekł:

¹⁾ Szczerpienie.

— O moja urocza liljo! dlaczegoż cię ten okrutnik przykrępował do kolka? czy nie masz dosyć siły, ażeby obejść się bez tej brzydkiej podpory? A cóż to za złośliwy człowiek!... paścić się nad tak wspaniałym kwiatem i nie dać mu chwili swobody! Może się mylę, sądząc, że ci to sprawia przykrość... może przyzwyczaiłaś się już do swej niewoli i poniżenia, lecz gdyby mnie tak przywiązał, to chyba umarłbym ze wstydu i zmartwienia.

— Nie wiem, co w tem widzisz poniżającego — odrzekła lilja poważnie; — nietylko wcale mi to nie szkodzi, ale owszem wdzięczna mu jestem za podporę, która mi jest dogodną i pomocną.

— Otóż przekonam cię, że podpora ta nie zdola cię obronić od mojego gniewu! — zawołał wietrzyk, zapalając się.

I natychmiast zadał tak silnie, że o mało podpórki nie wyrócił i lilji nie wyrwał z korzeniami.

— A co — rzekł z tryumfem — czy przekonałaś się, jak jestem silny? Gdybym miał złe serce, powaliłbym cię na ziemię.

— Przekonałam się, że więcej masz złości, aniżeli siły; ale chybiłeś celu, bo zamiast obudzić we mnie niechęć ku ogrodnikowi, napełniłeś mię ku niemu wdzięcznością, gdyż dopiero teraz widzę, jak mi jego podpórka jest potrzebną, i odtąd tembardziej będę się jej trzymała.

— Czy tak? rzekł wietrzyk — więc mi wypowiadasz wojnę? Bardzo dobrze, przyjmuję i oświadczam ci z góry, że o ile twym towarzyszom będę ze wszystkich sił pomagał, o tyle będę cię prześladował bez wytchnienia, ażebyś się przekonała, że nie należy pogardzać życziwą radą.

— Rady swe zachowaj dla innych, a mną przestań się zajmować — odpowiedziała mu lilja z oburzeniem.

Wietrzyk, pogroziwszy jej, odleciał, przyrzekając kwiatom, iż je nazajutrz uwolni z pod przemocy ogrodnika.

Przez całą noc kwiaty naradzały się nad słowami wiatru; większa część, uwierzywszy zdračnym jego podszeptom, pozbyła się podpórek i niecierpliwie oczekiwała chwili, w której je wyswobodzi. W tej nadziei nad ranem słodko pozasypiały.

Skoro dzień zaświtał, pobudziły się w oczekiwaniu ważnego wypadku. Słońce weszło w całym blasku piękności, lecz wkrótce schoowało się za chmury, pokrywając ponurą oponą całe niebo.

Nagle z poblizkiego lasu dał się słyszeć szum mocny.

— To nasz wybawca, nasz sprzymierzeniec!¹⁾ — zawołały chórem wszystkie kwiaty, z wyjątkiem lilji.

¹⁾ Przyjaciel, który zobowiązał się do pomocy.

Na chwilę zapanowała cisza. Kwiatki popuszczały główki, nadsluchując niecierpliwie, rychło upragniony wiatr nadleci z pomocą.

Wtem zahuczał w lesie straszliwy łomot strzaskanych gałęzi i zdruzgotanych pni. Szalony wichur wypadł z boru i z niewypowiedzianą gwałtownością niszczył wszystko, co tylko napotykał na drodze.

Nim kwiaty ochłonęły z przestraszu, nim mogły rozpoznać, co się dzieje, już wichur wpadł do ogrodu i zaczął wszystko pustoszyć. W jednej chwili zdruzgotał altankę, okrytą powojem, powyrywał z korzeniami gwoździki, złamał różę i pozrywał korony mnóstwa kwiatów.

— Otóż jesteście swobodne! — zahuczał szydersko ¹⁾ i wzbijając tumany kurzawy, pędził dalej szerzyć spustoszenie.

Jeszcze wycie wichru nie ustalo zupełnie, gdy spadła ulewa, a deszcz nawalny powbijał powalone kwiaty do ziemi i zamulił resztki ozdobnych koron.

Nad wieczorem wypogodziło się... Biedne roślinki zwolna ochłonęły z przerażenia. Jakże okropnie cały ogród wyglądał! Tu gwoździki, powalone na ziemię, zasypane piaskiem; tam róża, pozbawiona pysznych kwiatów i pączków; prześliczne kielichy powojów tak zamulone błotem, że nawet ich barwy niepodobna rozeznąć! Jedna tylko lilja zaledwie nieco była

¹⁾ Z pośmiewiskiem.

pochylona, silna bowiem podpórka uchronić ją zdołała od nieodzownej ¹⁾ zguby.

Dumne i harde, wczoraj zlorzczyły ogrodnikowi — smutne i upokorzone dzisiaj, nie śmiały nawet szerzyć skarg na złośliwy wichur, który je wszystkie chciał zgubić.

Wkrótce potem nadszedł z miasta zadyuszany ogrodnik, przejęty niezmierną obawą o los kwiatków; pewny był, że wichur narobił szkody, i spodziewał się zastać ogród w złym stanie, ale gdy ujrzał cały ogrom spustoszenia, stanął jak skamieniały:

— O, moje biedne kwiateczki! — zawołał, przyszedłszy nieco do siebie — któżby się spodziewał, że was spotka takie nieszczęście!... Co tu robić?... co tu robić?

I rzuciwszy koszyk na ziemię, jął się skwapliwie do dźwigania powalonych kwiatów; prostował je, oczyszczał z błota, obmywał z piasku, podsypywał ziemią, utwierdzał podpórki, — słowem, robił, co tylko mógł, ażeby zatrzeć ślady spustoszenia. Usiłowania wszakże jego nie osiągnęły zupełnego skutku. Niektóre kwiaty odzyskały, i to niezupełnie, część dawnej piękności; większość jednak straciła dawną świeżość i jedynie życie ocalić zdołała, a niektóre bezpowrotnie zginęły.

O zdradliwy wietrze, cożeś ty narobił!...

¹⁾ Nieuniknionej.

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH
Kolegium (Inst.) Rolniczej
Kolegium w Białymstoku
1902

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej

NIEWIDOMY

Nr _____

W odpowiedzi uprasza się powo

KRASZANKI

OPRACOWAŁA Z FRANCUSKIEGO

Z. SZYMANOWSKA



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908



INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej

Koło w Białymstoku

dnia _____ 1908

W odpowiedzi uprasza się powo

downą na powyższą książkę

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej
Kolo w Białymstoku

lata 192

Nr

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą liczbę.

NIEWIDOMY.

Była niedziela. Jeden z tych pięknych dni majowych, kiedy się człowiek czuje lżejszy, kiedy wszystkie serca śpiewają.

Jest wpół do pierwszej. Marcelka zajęta wycieraniem całego stosu talerzy...

— Mamusiu! skończyłam! — mówi wesoło, wieszając mokry ręczniczek na sznurku przed kominkiem.

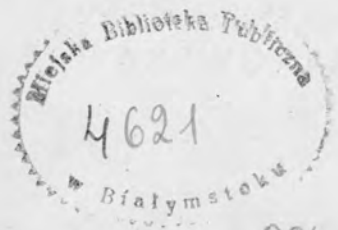
— Dobrze, moja córko. Idź teraz, przygotuj się do wyjścia.

Marcelka jest już w swoim pokoju, poprawia włosy, zdejmuje fartuch, który osłaniał jej świąteczną sukienkę i kładzie ładny, biały kapelusz, świeżo upięty przez mamę.

— Do widzenia, mamciu, woła, wpadając do kuchni i obejmując mamę za szyję.

— Do widzenia, kochanko. Baw się dobrze, ale pamiętaj, że masz nową sukienkę na sobie. A wracaj na siódmą.

Dziewczynka przebiegła przez sad kwit-



884-93 II / Op

nący, wyszła na drogę i, znalazłszy się między dwoma gęstymi żywopłotami, zwolniła kroku.

Serce Marcelki raduje się na myśl o Mani, która mieszka tam na brzegu jeziora. Zapewniam was, że u Mani nie można się nudzić.

Najpierw się będzie bawiła w krokieta, w gospodarke, w szkółkę, a potem?... będzie coś, o czym nie wiecie: spacer łódką. Marcelka widzi już siebie, mknącą po gładkiem jeziorze i zanurzającą palce w ślicznej, błękitnej wodzie. Cały tydzień myślała o tej wycieczce.

Marcelka ma sporo zajęcia w domu. Ona to wyprowadza na spacer malego braciszka, dogląda kury, wyciera naczynia. Dziś wszystko poszło jej łatwiej, przyjemniej.

— Wiosna! — jakie to ładne! — mówi do siebie, zrywając polną różę. Zaniesie ją Mani.

Słońce wydaje się jej jaśniejsze, niż zwykle, kwiaty świeższe, drzewa zieleńsze.

O dwa kroki od niej na gałązce zięba śpiewa prędko, prędko, jakby się lękała nie skończyć piosenki; tu duże margarytki pochylają się zgrabnie, kłaniają.

Marcelka staje na chwilkę, słucha, jak brzęczy truteń, latając przy płocie.

Dzyn! Dzyn! uderza zegar w wiosce. Już druga! Spóźnię się, myśli dziewczynka i biegnie, jedną ręką przytrzymując kapelusz.

Wtem stanęła i patrzy na drogę.

Co ona tam widzi?

Przy płocie siedzi człowiek stary, zgarbiony; twarz jego smutna, zdaje się, że płakał.

Marcelka zbliżyła się, staruszek zwraca głowę w jej stronę, a ręką zdaje się macać ziemię, szukając swego kija.

— Czy pan źle widzi? — pyta dziewczynka, podając kij.

— Nie widzę, — odpowiada smutno staruszek.

I Marcelka spostrzeża, że biedne jego oczy są zamknięte.

— Ślepy! Jakież on nieszczęśliwy!

— Niema mego przyjaciela, — wzdycha staruszek. — Nie wiem, jak mam iść...

Dziewczynka pochyła się ku niemu, pytając ze współczuciem.

— Przyjaciel porzucił pana?

— Tak, bo go przestraszono. Mój przyjaciel — to pies Karlo, bardzo do mnie przywiązany. Ile razy widział, że placzę, pocieszał mię, lizal. A rozumiał wszystko, co mówilem. Teraz sam zostałem.

Marcelka ma oczy pełne łez.

— Czy dawno uciekł pies panu?

— Już z godzinę. Szliśmy tą drogą, gdy wypadł duży pies — duży zapewne, bo miał gruby głos. Poczulem, że Karlo drży; a gdy pies zbliżył się, Karlo szarpnął się i uciekł, pędzony wciąż przez dużego psa. Woląłem, woląłem, ale napróżno.

Marcelce żal staruszka; chciałaby zostać, by go pocieszyć, ale słyzy, zegar bije w pól do trzeciej. A spacer Łódką?...

— Do widzenia panu, — mówi, oddalając się śpiesznie.

Biegnie, ale zdaje się jej, że słońce już nie tak ładnie świeci i kwiaty nie uśmiechają się do niej...

Myśli o ślepym staruszką, a głos jakiś coraz to odzywa się w jej sercu: »Co on zrobi sam teraz?«

Na zakręcie drogi stanęła, zamyśliła się... Po chwili wraca.

Ale Marcelko, domek twej przyjaciółki jest tam na zachód, ty idziesz w przeciwną stronę; zmyliłaś drogę.

Nie, Marcelka nie pomyliła się. Idzie z powrotem, bo nie może tak zostawić niewidomego; on jest zbyt nieszczęśliwy.

— Proszę pana, — pyta, — w którą stronę uciekł pies pana?

— Ach, to ty, moja dobra dziewczeczko. Słyszałem, że czekał w tej stronie, — i drżącą ręką wskazuje lasak dębowy na drugim końcu łąki. Marcelka biegnie co tchu, już jest na skraju lasu i woła ze wszystkich sił: — Karlo! Karlo!

Słucha: kosy tylko odpowiadają jej gwizdaniem.

Marcelka biegnie dalej i, trzymając przy ustach ręce naksztalt trąbki, by głos dalej leciał, woła jeszcze: — Karlo! Karlo!

Zdało jej się, że słyzy jakiś szelest w krzakach; śpieszy w tę stronę i spostrzega czarnego pieska.

To Karlo z pewnością. Koniec sznurka wisi mu u szyi; widocznie przybiegl z daleka, bo sapie bardzo i wywiesza język.

— To ty, Karlo? — pyta Marcelka, stając. Chodź prędko do swego pana.

Karlo też staje i przygląda się dziewczynce rozumnymi oczami. Trzęsie głową, porusza ogonem, ale waha się.

Czyż znów ucieknie? Nie. Piesek prędko zrozumiał, że Marcelka jest przyjaciółką, że do niej zbliżyć się można bez obawy.

Podechodzi powoli, wacha.

— Chodź, Karlo, chodź do swego pana, mówi Marcelka. Jak on się ucieszy!

Biegną. Już są przy staruszką. Karlo skacze na niego, liże mu twarz, ręce, wyrażając radość wesołym szczekaniem.

— Karlo! mój dobry Karlo, to ty naprawdę! — woła niewidomy, gładząc go czule. Potem wstaje, kładzie rękę na głowie Marcelki:

— Dziękuję ci, — mówi, — za dobroć, za usługę, jakąś mi okazała. Jesteś dobra dziewczynka.

Ale Karlo przypomina, że jest głodny, i idzie do koszyka, gdzie zwykle leży chleb dla niego. Podnosi nakrywkę i zaczyna szczekać z niezadowoleniem.

— Nic niema, mój przyjacielu; nie jedliśmy obiadu. Chodźmy.

Karlo staje na tylnych łapkach, prawą przednią podnosi i na pożegnanie saltuje Marcelkę, dumny ze swej umiejętności.

— Jakiś ty piękny i rozumny! — wykrzykuje Marcelka, gładząc pieska i skacząc z nim razem.

Potem, zapominając już zupełnie o zamierzonej wycieczce, zwraca się do niewidomego i mówi uprzejmie:

— Ponieważ pan nie jadł obiadu, proszę do nas; ja zaprowadzę.

Wieczór. Rodzina Marcelki zebrana dookoła stołu, na którym dymi gorąca zupa.

Na kominku suche gałązki palą się wesołym ogniem.

Karlo gryzie kość w kącie.

Niewidomy siedzi na fotelu, który niegdyś służył dziadzi, i opowiada swe troski, smutne życie ślepego. Marcelka słucha i nie żałuje, że dopomogła niewidomemu, nawet kosztem wycieczki. Pojedzie innym razem. Dziś uprzejmie, z uśmiechem usługuje wszystkim.

KRASZANKI.

— Jakaż jestem zmęczona, mamusiu! — mówi Józia, nie przestając czyścić pokrywkę od imbryka.

Stoi przed stolem w kuchni, cała owinięta w fartuch z grubego płótna; rękawy ma zakasane i od czasu do czasu ociera kroplę potu, staczającą się jej po policzku.

Zupełnie jak prawdziwa kucharka.

Obok niej przy szafie stoi Marynia, jej siostra.

Obie dziewczynki urodziły się w jednym dniu, ale niepodobne są do siebie ani z twarzy, ani z charakteru.

Twarzyczka Józi przypomina poziomki leśne, a twarzyczka jej siostry przeciwnie, jest blada.

Marynia zdjęła fartuch i mówi:

— O tak, mamusiu, jesteśmy bardzo zmęczone!

— Jeszcze trochę wytrwałości, moje drogie, i skończymy.

Dziewczynki znów czyszczą, wycierają.

Od godziny są zajęte porządkowaniem kuchennego naczynia, które nareszcie świeci się jak srebro.

Muszę wam powiedzieć, że jutro jest Wielkanoc, i mama chce, żeby się wszystko świeciło w jej domu.

Robota skończona; małe rączki przestały pracować.

— Dziękuję wam, moje dzieci. Pomogłyście mi. Jesteście dobre dziewczynki.

Jakto przyjemnie posłyszeć, że mama zadowolona! Natychmiast zapomina się o swem zmęczeniu.

— A teraz zabierzemy się do czego innego, dodaje mama z uśmiechem.

Cały dzień dziewczynki myślały o tej chwili.

Nadeszła wreszcie!

Oczki ich błyszczą radością.

Józia wyjęła z szafy dużą wazę; mama wysypała trzy proszki różnych kolorów do trzech garnków, zalała je wrzącą wodą i miesza prędko, prędko.

Dzieci wołają:

— Ach, jaki ładny czerwony kolor! Niech mama spojrzy, zupełnie kolor maków.

— A tu, — woła Marynia, — niebieski, jak niebo!

— A żółty jeszcze ładniejszy!

Słysząc, jak się woda gotuje w dużym rondlu.

— Mamusiu, woda gotuje się!

— Dobrze, włóż jaja!

Dziewczynka bierze jaja z wazy i łyżką ostrożnie kładzie jedno po drugim do rondla. Jest ich trzydzieści sześć; woda podnosi się prawie do brzegu.

Marynia zmęczona, patrzy jak jej siostra krząta się wytrwale.

— Która godzina, Maryniu? — pyta mama.

— Czwarta.

— Więc dziesięć minut na piątą wyjmujemy jaja.

Milczenie. Józia pilnuje ognia, słucha gulgotania gotującej się wody, a Marynia oparta o stół, śledzi oczami posuwającą się powoli wskazówkę na zegarze.

Już czas.

Ostrożnie wyjmują jaja z wody i wpuszczają do garnków z płynem kolorowym. Wychodzą stamtąd polyskujące i każdemu jajku towarzyszą okrzyki zachwytu.

Dziewczynki, uszczęśliwione, mówią o jutrze, jak pójdą gromadą na górkę kolo wioski, jak różnokolorowe jaja będą się toczyły z górki wśród wesolych okrzyków i śmiechów. To takie zabawne!

Po chwili Marynia zamilkła, zamyśliła się...

— Mamusiu, — pyta — czy wszystkie dzieci mają kraszanki na Wielkanoc?

— O nie, moja córko, niewszystkie, niestety.

Przygotujcie teraz wasze koszyczki, — mówi dalej mama. — Każda może wziąć sześć jaj, jak w zeszłym roku.

— Czy mamusia pamięta Janka? — pyta Marynia — tego chłopczyka, co przychodził bawić się z nami?... Sąsiadka mówiła mi, że ciągle chory, w szpitalu. Czy możnaby, mamusiu...

Marynia stanęła na palcach i mówi coś mamie do ucha, a mama czule całuje ją w czoło.

— Tak, ale trzeba byłoby mchu, — woła Józia, odgadując sekret.

— I kwiatów, — dodaje Marynia. — Ach, jaka jestem rada!

Szósta godzina. Obie siostry z koszykiem idą na łąkę, otaczającą dom. Józia skacze, jak młody konik. Kury spłoszone, uciekają, krzycząc. Kos gwiżdże na wierzchołku jodły.

Marynia spostrzega na zachodzie śliczne, różowe obłoki. Dziewczynki chwilę stoją, patrzą, słuchają... Powoli słońce skrywa się za górą, a chmurki z różowych robią się szare z złotym, koronkowym brzeżkiem. Jodły ciemnieją.

— Ładnie! — mówi Marynia, — ale śpieszmy się, bo się wkrótce zmierzchnie.

Pobiegły i stanęły przed gęstym dywanem z mchu.

Zebrały dużo mchu, zerwały pączki pach-

nących fijołków, pierwiosnków i kwitnących na brzegu strumyka anemonów, które już na noc zamknęły kielichy.

Wracając z bogatym zbiorem, dziewczęta rozmawiają, śmieją się. Mama przygotowała pudelko na stole w kuchni. Wysłano je grubo mchem; na tem miękkim posłaniu ułożono sześć świecących jajeczek: trzy od Maryni, trzy od Józii; przykryto mchem i ślicznymi kwiatkami.

— Postawcie na noc pudelko w ogrodzie, — mówi mama; — roślinki będą świeższe. Ale kto wstanie jutro raniutko, by je zanieść na pocztę?

— Ja, mamusiu, — woła Marynia.

Dzień jutrzejszy nadszedł; Marynia wstała o wschodzie; pudelko wysłane.

Widzicie ten duży pokój z białymi ścianami?

To sala w szpitalu.

Wzdłuż ścian stoi szereg łóżek.

Mały Jaś leży tam, błydy i smutny. Jaki on mizerny! Biedne jego rączki leżą bezwładnie na koldrze, a błyszczące oczy patrzą do góry na skrawek szafirowego nieba... I zdaje się Jasiowi, że bawi się przed ładnym domkiem z zielonemi okiennicami, gdzie mieszkał w przeszłym roku.

Widzi kury, zbierające ziarna, i Medora, drzemiącego przed budką. Widzi rosnące przy

murze kwiaty, które podlewał co wieczór: gwoździki, rezedę... I wzdycha.

Kiedy on będzie mógł znów biegać po łące, prowadzić kozę za sobą, wycinać fu-jarki z gałązek wierzby?...

Nigdy może. Piersi go tak bołą, jak kaszle!

Łzy płyną powoli z rozgorączkowanych oczu.

W mieście wesole dzwony zwiastują światu zmartwychwstanie Jezusa. Inne dzieci są szczęśliwe; wychodzą z rodzicami, otrzymują podarunki, piękne, kolorowe jaja.

A Jaś jest sam; Wielkanoc nie mu nie przyniesie. Niema już dobrej mamy, która o nim myślała. Nikt go nie kocha.

— Nikt? Kto wie.

Drzwi otworzyły się. Siostra Amelja w białym kornecie idzie prędko z paczką w ręku.

— Dla ciebie, Jasiu, — mówi wesolo.

— Dla mnie?

Dziecko otwiera zdziwione oczy. Nigdy mu nic nie przysyłano. Czyż to dla niego? Siostra Amelja myli się chyba.

— Ale dla ciebie, moje dziecko. Spójrz na adres:

Jan Wrzos, Szpital gminny, pokój 14.

Jaś drżącymi rękoma rozwiązuje sznurek; potem siostra obciążkami otwiera pudełko jodłowe.

— Co może być w tem dużym pudełku? — zapytuje siebie Jaś, śledząc ruchy siostry Amelji.

Dwaj jego sąsiedzi z ciekawością podnoszą się na łózkach, by lepiej widzieć. Nikt nie mówi i słowa. Jaś słyszy, jak mu bije serce.

— Jakie ładne kwiaty! — wola nagle.

I powoli wyjmuje kwiatki jeden po drugim z ich posłania w mehu, podziwia je, cieszy się nimi, wacha, pokazuje wszystkim wokolo.

Fijolki zachwycają go najbardziej. Cały pokój napelnily zapachem.

Potem podnosi mech i znajduje gniazdko: sześć ładnych jajek — żółtych, czerwonych, niebieskich!

Mały Jaś przez chwilę patrzy na nie w milczeniu, uśmiecha się, a jednocześnie łza, łza radości stacza się po jego policzku.

— Jaja! jakie ładne! — wola rozpromieniony. — A to jakie zabawne! Niewiększe od jajka gołębia. A to niebieskie z białym rysunkiem!

Prześliczne! — oświadczają zachwyceni sąsiedzi.

— O, wiecie podzielimy się, — mówi Jaś.

I tak trzem przyjaciolom Wielkanoc przyniosła zapas radości na wiele dni.

Wieczorem przed zaśnięciem Jaś jeszcze raz podziwia ładne kwiatki, które siostra Amelja postawiła przy jego łóżku, potem zamyka zmęczone oczy i zasypia z uśmiechem. Sni mu się niebo błękitne, wiosna ogród w kwiecie. Mały Jaś czuje się szczęśliwy.

ZWIĄZEK

INWALIDÓW WOJENNYCH

szereżnoscioj Polakoj

Z. BUKOWIECKA

KAZIMIERZ WIELKI

KRÓL CHŁOPKÓW

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej

Kole w Białymstoku

.....

№

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą liczbę.



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPOŁKA

1908

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej

Kole w Białymstoku

..... 192

№

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą liczbę.

4621

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczywistości Polskiej

Kole w Białymstoku

lata 192 r.

Nr

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą liczbę

Kazimierz Wielki, król chłopków.

Mam wam dziś opowiadać o gospodarzu i monarsze, za którego rządów zakwitła Polska postępem, jak kwiat kwitnie krasą. A zanim mówić zacznę o Kazimierzu, synu Lokietkowym, bierze mnie ochota przykleknąć w Krakowie u jego trumny i całować kamień grobowy, na którym wyobrażony jest w majestacie monarszym, z twarzą mądrą i sprawiedliwą. Bije z tej twarzy siła. Poznasz odrazu, że to nie książątko dzielnicy tu leży, tylko ojciec i sędzia wielkiego narodu.

Był też ojcem Ojczyzny i sędzią narodu Kazimierz Piast, syn Lokietka. Wielkim nazwała go cała Polska, a lud wieśniaczy jeszcze wyłącznie swoim monarchą, królem chłopów ogłosił.

Czas też był wielki, aby odżyła Polska po latach klęsk i swarów. Zanosilo się już dawno na lepszy porządek; pragnęli go wszyscy prawi obywatele, a za rządów bohatera Lokietka czuł już każdy, że krzepnie moc w narodzie. Lokietek uczył swoim przykładem, jak Ojczyznę kochać należy i rozumieć swoje względem niej obowiązki, — nie ten lub ów szmat ziemi, lecz całą wielką Ojczyznę,

tak jak ją Chrobry w snop Piastowy związał, gdzie tylko brzmi polska mowa, gdzie pieśń do Bogarodzicy rozbrzmiewa po kościołach.

Tego uczył, takie ziarno zgody i cnoty obywatelskiej rzucał Łokietek; że zaś siew odrodzenia Ojczyzny zlewał obficie własną krwią i potem, więc plon pracy małego króla wyrósł piękny. On go nie dożył, umarł jednak szczęśliwy, bo wznosił dla syna mocny zrąb gmachu narodowego, widział jutrzeńkę dnia chwały. Teraz miał przyjsć gospodarz, który uczyni przed Bogiem i przed narodem obrachunek z tego, co Polska przez ostatnie wieki zdziałała dla postępu świata, co jej dalej czynić należy.

Ucząc się historji, trzeba mieć zawsze i przede wszystkim na pamięci to, że praca nad uszlachetnieniem i wzbogaceniem ludzkości ustać nie może, że jest ona z woli Bożej celem życia człowieka i życia całych narodów na ziemi.

Polska w podziałach, rozdarta wojną domową, musiała zbiednieć i zdziczeć, bogactwa jej zmały, nie stawiała miast, nie budowała pięknych świątyń, nie pisała mądrych ksiąg, nie zakładała szkół. W obronie szczęścia i postępu, czyli cywilizacji świata, dała jednak to, co miała najdroższego: krew swoją na polach lignickich¹⁾. Zasłoniła własną piersią Europę od pożogi pogańskich Tatarów, którzy ujarzmili Ruś, a oparli się dopiero na stosach męczenników polskich. Robiąc więc obrachunek zasług naszego narodu w pracy nad postępek

¹⁾ Walka z Tatarami 1241.

świata, możemy powiedzieć śmiało, że ochroniliśmy ten postępek od zagłady mongolskiej, że, dzięki bohaterstwu rycerzy lignickich, mogli Niemcy, Czesi i Węgrzy pracować dla cywilizacji.

Ale to za mało. Polska zjednoczona pod berłem ukoronowanego Łokietka, czekała teraz na gospodarza mądrego i silnego, aby zakwitnąć postępek i dorobek własnej pracy cywilizacyjnej dorzucić do dorobku całego świata.

Dał nam Bóg takiego monarchę w Kazimierzu Trzecim. Jak przed wschodzącem słońcem uciekają do lasu wrony i puhacze, a sowy milkną, tak przed wielkim majestatem prawdziwego Piasta umilkły właśnie domowe, spokornieli sąsiedzi, przestali krakać Niemcy-osadnicy. Polacy poczuli się sobą i u siebie w Polsce.

— Król, Ojczyzna, święta wiara, komu nie w smak, temu wara! — mówił ten i ów. Rosła w narodzie śmiałość i fantazja rycerska, bo poczuli wszyscy, że Kazimierz pan jest miłościwy i kochany, ale przytem monarcha, co się zowie, z rodu i wychowania. Łokietka młodość zesłała na poniewierce, na tułaczce, to zaś orlę urodziło się w zamku królewskim, odrazu na ptaka królewskiego; gdy zaś podrośł Kazimierz, stał go ojciec do szwagra na dwór węgierski. Tam najlepiej mógł się królewicz rycerskiego nauczyć obyczaju i poznać, jak wiele ludy na Zachodzie zdziałały dla postępu świata, jak dalece wyprzedziły Polskę w cywilizacji.

Królem węgierskim, szwagrem Kazimierza, ożenionym z córką Łokietka Elżbietą, był Karol

Robert. Pochodził on z francuskiej Andegaweńczyków rodziny, a Francja od wieków słynęła naukami, miała akademię, czyli najwyższą uczelnię, wtedy już, kiedy u nas Chrobry dopiero zaczynał budować państwo; miała miasta bogate, rycerzy sławnych, mieszczan, miłujących ojczyznę, księgi, pięknymi rycinami ozdobne, wspaniałe świątynie i zamki.

Karol Robert wprowadził do Węgier obyczaj francuski, uczył wszystkiego, co umiano w bogatej Francji, pytał też pewno nieraz żony i szwagra: »Jak u was w Polsce?«

Goryczą takie słowa zalewały serce królewicza Kazimierza. Miałże opowiadać obcym, że Ojczyzna jego zdziczała od klótni, że bracia rozdierają między sobą bogactwa, zamiast je mnożyć, że Tatarzyn pustoszy Polskę z krańca w kraniec, a lud nie ma obronnych miast, gdzieby się schronić i stawić opór najeźdźcom?

Syn z boleścią słucha uzaleń nad nędzą matki. On wie, że jego obowiązkiem wyteńczyć siły i przyodziać rodzicielkę.

Takie wielkie chcenie budziło się w sercu Kazimierza, ilekroć myślał nad zubożeniem Polski, nad spalonymi jej grodami, zdziczałym ludem, zamowanym handlem, poniżoną godnością monarszą. Młody był bardzo, kiedy przez śmierć ojca został panem stolicy krakowskiej, ale pokazał wprędce, że potrafi sam podolać rządowi, co zaś ważniejsza jeszcze, potrafi porwać za sobą naród do twórczej, mrówczej pracy. Aby pracę taką rozpocząć i prowadzić z korzyścią, musiał Kazimierz

zapewnić sobie spokój od sąsiadów. Okupił go ciężkimi ofiarami, bo odstąpił Śląsk Czechom, aby raz nareszcie przestali rościć sobie prawa do korony polskiej. Upominali się o nią od czasu, jak Wacław czeski koronowany był na króla w Krakowie. Gorzko przyszło Polakom pokutować za to, że puścili do stolicy obcego z krzywdą Piasta Łokietka; teraz ten obcy za swoje prawa zabierał piękny kęs ojcowizny.

Ubezpieczony zgodą z Czechami, zawarł jeszcze Kazimierz ugodę z Krzyżakami, mocą której przyznawał im prawa do ziem, na Pomorzu zdobytych. I znów przyszło nam ciężko pokutować za błąd Konrada mazowieckiego, który w granice Polski puścił pająka-Krzyżaka. Ale mądry król nie mógł inaczej postąpić. Wiedział on, że trzeba za jakąbądź cenę zapewnić Ojczyźnie odetchnienie po wojnach, aby odrodzona i potężna, mogła zająć godne miejsce wśród innych narodów.

Mówią ludzie o królu Kazimierzu, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Prawda to jest nietylko dlatego, że na miejsce grodów, spalonych przez Tatarów, wznosił nowe, trwałe budowle, ale i dlatego, że całe gospodarstwo narodowe do porządku przyprowadził i na długie lata umocował. Z niezgodnego kurnika zbudował napowrót gniazdo orle i, jak orzeł, rozpostarł nad niem potężne skrzydła ojcowskie.

Najprzód więc wstrzymał ludy swoje od bezużytecznych wojen, a potem ludy te zachęcił i przyuczył do pracy; żeby zaś pracowali ochotnie i zgodnie, musiał dać baczenie, aby jeden syn dru-

giego nie krzywdził. Nie bał się już Niemców, owszem, pozwalał im osiadać w Polsce, ale zabronił mieszczanom odwoływać się ze swemi sprawami i sądami do niemieckiego Magdeburga po sprawiedliwość, tylko na miejscu wymierzać ją kazał i dlatego ustanowił w Krakowie sąd, z siedmiu wójtów złożony, który sądem miejskim nazywano.

Czyniąc tak, słusznie i dobrze postąpił Kazimierz. Byłoby słusznem, aby obywatele miast polskich do Magdeburga, do Niemców nad Elbę, procesować się jeździli? Alboż brakło w Polsce ludzi sprawiedliwych i mądrych, którzy waśń na miejscu załagodzić mogli? Toż prawa nasze łagodniejsze nawet były od niemieckich, bo kiedy tam karano zbrodnie śmiercią lub okrutnem odcięciem członków, w Polsce płacono grzywny, czyli karę pieniężną naznaczał sędzia za przewinienia. Prawda, że też nie znano u nas przestępstw takich, jak na Zachodzie. Grzeszyliśmy swarami, ale niema w historii Piastów ani monarchów okrutnych, jako ich miały inne narody, ani czynów zbrodniczych, za które srogie należałyby się kary.

Sprawdziło się na Kazimierzu to, co już opowiadałam o innych Piastach. Ilekroć na stolicy krakowskiej zasiadł monarcha mądry, monarcha-bohater, zaraz ład wracał do kraju. Tak jest w każdym gospodarstwie, tak było i u nas. Kazimierz uczynił Polskę dość potężną na to, aby do rodzonych swoich synów mogła przygarnąć i obcych pasierbów. Garnęli się do nas Niemcy, garnęli Żydzi, którym król potwierdził przywilej, dany przez księcia kaliskiego w roku 1264, i pozwolił osiadać

w całej Polsce. Było to słusznie, bo nie należy zamykać chaty przed obcym, chatę jednak trzeba uczynić tak mocną, aby jej nie rozniesli obcy przybysze, lecz pokochawszy jak własną, czuli się obywatelami kraju zarówno z całą ludnością polską.

Ale nietylko nad pasierbami, bo i nad rodzonymi synami Ojczyzny musiał czuwać Kazimierz, aby hardość butnych ukrócić, a sprawiedliwość wszystkim zarówno czynić. Przypomnijcie sobie, co mówiłam o różnych stanach w Polsce, że były, jako pięć palców, z jednej ręki wyrosłe, niejednakowo przecież pracujące, niejednako harde. Kazimierz, na dworze węgierskim chowany, widział poszanowanie, jakie tam cały naród miał dla monarchy; były to czasy ciemnoty ludów, dzikości, grubiaństwa, więc też stan duchowny musiał nabrać znaczenia dlatego, że on tylko zajmował się nauką i postępem, a po wszystkie wieki oświata brała zawsze górę nad ciemnotą. Każdy zdolniejszy człowiek, każdy, kto miał umysł żywszy, kto dążył do wykształcenia, zostawał księdzem, zatem stan duchowny wciągał w siebie wszystkie najdzielniejsze siły w narodzie, a przez to ogarniał najważniejsze stanowiska.

Wielką zasługę położyli duchowni, bo kiedy podzielonej na części Polsce groziło zniemczenie, oni to stanęli murem w obronie mowy ojczystej i obyczaju. Byli też biskupi nietylko uczonymi, ale i doskonałymi administratorami swoich dyjecezyj¹⁾, które pod ich rządami bogaciły się han-

¹⁾ Przestrzeń kraju pod władzą jednego biskupa.

dlem i przyozdabiały w piękne świątynie, tak zasobne, że np. kościół w Gnieźnie miał prócz innych kosztowności 400 złotych kielichów. Skarby te oddawali nieraz biskupi na potrzeby kraju, bo kochali prawdziwie Polskę, ale też za usługi jej świadczone żądali, aby Piastowie stan duchowny nad wszystkie inne, a nieraz i nad własną monarszą władzę cenili.

Niemniejszy kłopot miał Kazimierz i ze stanem rycerskim. Potężniały rody rycerskie, bo służba wojenna piesza coraz więcej szła w zaniedbanie, a cały ciężar obrony kraju brała na siebie szlachta. Władając nieustannie orężem, na koniu, w ciężkiej zbroi żelaznej harcując od dzieciństwa, krew swą obficie wylewając za Ojczyznę, nabrała szlachta wielkiej siły ciała i mocy ducha. Rosła też w znaczenie, bo rody rycerskie pod jednym hasłem, czyli zawołaniem i pod jedną chorągwią walczyły; za Łokietka każdy taki ród miał już swój herb, czyli znak, zabierał zgodnie głos w sprawach kraju, dóbr, które jego członkowie posiadli, z rąk swoich nie wypuszczał i nawzajem się wspierał.

»Rósł szlachcic z tego, co boli«, czyli z ran, odniesionych na polu bitwy — mówiono. Było to chwalebnie i pięknie; rósł w znaczenie odwagą, jak stan duchowny rósł nauką, jak mieszczaństwo bogactwem, nabytem przez handel. A tymczasem kmieć, pracujący na swojej roli, nie mógł dorównać tamtym trzem braciom, tembardziej zaś nie mógł im dorównać lud roboczy, z daw-

nego niewolniczego stanu wyrosły i cudzą obrabiający ziemię.

Kazimierz, prawdziwy ojciec narodu, o wszystkich synach równe musiał mieć baczenie, kochał postęp i nauki, więc szanował pracę duchownych, szanował szlachtę, bo cieszył się, że wysoko w Polsce zajaśniała cnota rycerska, sam przecież najprzedniejszym był między wszystkimi rycerzem; cenił stan mieszczański, gdyż, jako dobry gospodarz, rozumiał, że należy pomagać tym, którzy przez przemysł i handel bogacą Ojczyznę. Ale Kazimierz niedarmo Piastem się nazywał. Wywodził ród od kmiecia, który obok tronu pług kazał czcić narodowi, to też szczególną miłością otoczył lud wieśniaczy, dając mu opiekę w sporach ze stanem duchownym i rycerskim. Pamiętał dobry król, że własny jego ojciec, Łokietek, ludowi winien był pomoc przeciw Czechom, więc ukochał lud wiejski. Wydziałał kmieciom grunta na prawach czynszu¹⁾, dopomagał w zakładaniu nowych osad, do osoby swojej monarszej jako gości najmilszych przypuszczał, między lud sam chodził, kumał się z nim, dzielił radości i smutki, zapraszał jak Chrobry kmieci do swego stołu. To też lud kochał dobrego gospodarza i swoim go królem, królem chłopów ogłosił.

A nietylko równość stanów musiał Kazimierz mieć na baczeniu; należało też porównać w prawach i pogodzić między sobą rozmaite dzielnice kraju, bo chociaż Łokietek połączył je w jedno

¹⁾ Oplata dzierżawna.

państwo i koronował się na króla polskiego, to, zwłaszcza między Wielkopolską a Małopolską, od dawna panowała niechęć, powiem wam zaraz dlaczego.

W Wielkopolsce, około Gniezna, Kruszwicy, Poznania, snuła się jak z kłębka nić dziejów naszych; stąd wyfruwały orły Piastowe na wschód i zachód do ludów pobratymczych, żeby je łączyć z sobą w jeden silny snop narodowy. Tu stały kolebki i trumny pierwszych Piastów; ludność wielkopolska, odcięta od wszelkich obcych wpływów, najdłużej zachowała też zwyczaje słowiańskie i słowiańską równość, zazdrościła zaś Małopolsce, że od czasu koronacji Łokietka Kraków wziął przewagę nad Poznaniem. W stolicy przy boku króla rosły w potęgę wielkie rody małopolskie, a sąsiadując z Czechami i Węgrami, zatracaly powoli stary obyczaj słowiański.

Gniewało to Wielkopolan, więc chmurni, pokręcali węża i mówili:

»Wiedźcie no, mosanie, co znaczą Wielkopolanie,
»Co to Lecha osadnicy od Poznania i Kruszwicy!«

A urażeni Małopolanie odpowiadali na przechwałkę przechwałką:

»My też zuchy jacy tacy, małopolscy Krakowiacy;
»W naszej ziemi Wanda leży, naszą ziemią Wisła bieży«.

Dobry ojciec zrozumiał, w czym leży waśń dzieci, i wiedział, jak jej radzić. Piastowie wielkopolscy inne wprowadzili prawa od tych, jakimi

się rządzono w Małopolsce; inne prawa, inne sądy, a dla nadania Ojczyźnie siły, która tylko z jedności płynie, trzeba było koniecznie porównać we wszystkim obie prowincje polskie, niezgody, powstałe między niemi, zatrzeć, i tak zbratać z sobą, żeby:

»Czy w Krakowie, czy w Poznaniu, w Sandomierzu, czy
[w Kruszwicy,
»Brat bratu zgody dochował w kochaniu, brat bratu nie
[umknął prawicy«.

Wiedział i to Kazimierz, że gdy godzimy dwóch zwaśnionych, to należy każdemu z nich dać się wygadać osobno. Tak też uczynił mądry król. Zwołał Wielkopolan na zjazd do Piotrkowa, a Małopolan do Wiślicy; tu i tam wysłuchał skarg, tu i tam rozpatrzył, jakie każda z ziem miała zwyczaje, jakimi rządziła się prawami, i dopiero wyrozumiawszy wszystko dokładnie, pobratawszy Krakowiaków z zuchami poznańskimi, zaprosił niezgodników na nowy zjazd do Wiślicy.

Działo się to roku 1368. Należy pamiętać tę datę, bo na zjeździe wiślickim oddał Kazimierz narodowi mądrą i sprawiedliwą księgę praw, czyli statut, a mądre i sprawiedliwe prawa to najcenniejszy z darów, jakimi monarcha obdarzyć może swój lud.

Mamy prawo chlubić się ustawą wiślicką, gdyż nie było w niej ani kary cielesnej, ani kary śmierci.

Czy rozumiecie, co to znaczy? Jeśli rozumiecie, to odpowiedzcie mi na dwa pytania:

Kto się bić daje bezkarnie?

— Niewolnik.

Kto się ośmiela bić człowieka?

— Tyran i okrutnik.

Zapamiętajcie więc, co wam mówię z dumą i pociechą: gospodarze-Piastowie szanowali w poddanym godność obywatela. Sławimy statut wiślicki, gdyż jest on pięknym świadectwem dla Polski. U sąsiadów naszych ze wschodu i zachodu męczono ludzi torturami, bito ich srodze i nietylko bito: w Niemczech, we Francji, w Rosji ścinali monarchowie poddanym głowy jak makówki; Piastowie zaś już za owych dawnych czasów, już przed 500 laty rozumieli, że Bóg nakazuje kochać bliźniego, jak samego siebie, a więc nie odbierać mu życia, nie zadawać bólu; tylko poprawiać grzesznika, gdy zawini przeciw prawu i Ojczyźnie.

Takie to uchwały postanowiono na zjeździe w Wiślicy. A gdy naród uczyni rzecz prawdziwie piękną i dobrą, to się nią cieszy; gdy zaś jest rad, gdy mu na duszy rzewno od szczęścia, to i urazy łatwo zapomina. Więc stało się, jak przewidział mądry król: Małopolanie i Wielkopolanie podali sobie rękę do zgody i odtąd pracowali pilnie dla dobra Ojczyzny-Polski.

A teraz powiem wam z kolei o innym wielkiem dziele, jakie zbudował Kazimierz dla postępu i cywilizacji narodu.

Mówiłam wam, że Chrobry i Odnowiciel zakładali szkoły przy klasztorach i kościołach, bo szkoła to najpierwsze i najważniejsze bogactwo wspólne całego narodu. Ale potem przeszła nad

Polską pożoga tatarska, spłonęły w niej miasta, biblioteki, świątynie, wszystkie zabytki, którymi chlubić się zwykli synowie bogatej Ojczyzny. Ziemia leżała odłogiem, grody sterczały zgłiszczami, Polska obumarła i, jak Łazarz, czekała, kto z synów zawoła na nią: »Wstań, Matko!« Ale po długiej nocy zajaśniał świt dnia Bożego, obudziła się w narodzie chęć do pracy nad odbudowaniem dawnego porządku. Łokietek wskrzesił władzę monarchią Piastów, a Kazimierz pełną garścią rzucał w niwę ojczystą siew postępu i zamożności. Nie tylko bezpiecznym i zamożnym stał się każdy osadnik, ale zamożność społeczna rosła. Nie wstydził się już Kazimierz ubóstwa matki-Ojczyzny, jak za owych czasów, kiedy go pytano na dworze węgierskim:

— Powiedz nam, czy u was w Polsce dobrze ludzie pracują?

— Pewnie, że dobrze — mógł teraz śmiało odpowiedzieć mądry król.

Pracowano jak w ulu, żeby nagrodzić stracony czas i miody na długie zgromadzić lata. Że zaś pracuje dobrze tylko ten, kto ma umysł oświecony, więc o oświatę dla narodu starał się przede wszystkim Kazimierz i nietylko zakładał szkoły po całym kraju, ale wysłał zdolniejszą młodzież na naukę do sławnych uczelni, jakie mieli już Francuzi w Paryżu, Włosi w Bolonji, Czesi w Pradze. Wprędce też obok uczonych duchownych, przybyło w Polsce i świeckich uczonych, którzy, wyćwiczeni za granicą, słynęli potem na własnej ziemi. Mądry prawnicy i politycy stawali przy boku króla,

żeby mu pomagać w prowadzeniu spraw ojczystych, żeby wymierzać sądy i zapisywać, jako biegli pisarze, wszystko, co w aktach narodu zachować należy.

Nie poprzestał na tem Kazimierz, owszem, zapragnął więcej jeszcze uczynić dla chwały ziemi ojczystej. Zamiast wysyłać młodzież polską do uczelni zagranicznych, postanowił ufundować w Krakowie wyższą szkołę, czyli akademię, i czynem tym wsławił się po wiek wieków.

Za sprawą Kazimierza trysnęło w Krakowie źródło wiedzy i nauki, powstała akademja, jakiej nie było dotąd na północy; nie mieli jej nawet Niemcy, a Polska zdobyła się na taką szkołę! Otworzyła się dla wszystkich, nawet dla najbiedniejszych, możność kształcenia; uczył się, kto chciał, nie pobierano bowiem żadnej opłaty za naukę. Sprowadził Kazimierz do Krakowa siedmiu profesorów cudzoziemców i opatrzył dochodami z kopalni solnych w Wieliczce; liczył król, że potem własni polscy mistrzowie wykladać będą w jego szkole, tymczasem jednak od obcych zapożyczyć musiał nauczycieli. Szkoła miała własny swój rząd; rektor był wybierany przez studentów, sądził on sam wszelkie sprawy, a od jego wyroku nie było już żadnego odwołania.

Zaroił się Kraków od studentów, a cała Polska od uczniów ze szkół parafjalnych. Zwano tych uczniów żakami. Wielkie to szczęście widzieć młodzież wesołą i pracowitą. Kochał też naród swoich żaków, cieszył się nimi, a oni odpłacali życzliwość ludzką, sposobiąc się pilnie i ochotnie

do służby Ojczyźnie. W czasie świąt Bożego Narodzenia urządzali żakowie jasełka, obchodzili z niemi chaty rodzicielskie i składali kmieciom życzenia, śpiewając:

»Żeby wam się rodziło:
 »Żytko, jak korytko,
 »Eszenica, jak rękawica,
 »Bób, jak żłób,
 »Len, jak pień«.

A ojcowie, dumni z uczonych synów i z za-
 możności swojej chaty, mówili z przechwałką:

»Gdy własny snop cepem walę,
 »Nie dbam o bogactwa wcale«.

Taka to wesołość i taka fantazja ożywiła naszych pradziadów, którym dał Bóg żyć pod rządami mądrego gospodarza. Dbał Kazimierz nie tylko o chwałę Polski, nie tylko o jej zamożność, ale i o nagrodzenie strat, jakie poniosła przez oddanie Czechom Śląska, a Krzyżakom ziem pomorskich. Myślał też nieustannie król, jakby te ubytki z innej strony powetować i otworzyć nowe drogi dla handlu. Od Bałtyku zagrodzili nam ujście zdradliwi Niemcy, a tymczasem bogactwa narodowe mnożyły się i rosły. Miałyż marnieć płody ziemi polskiej, kiedy należało im iść w świat, karmić ludy, głodne naszych chlebów i miodów? Drogą handlową, w braku morza, mogły się stać rzeki San i Bug, mógł ku temu samemu celowi służyć trakt, wprost od Krakowa do Lwowa wiodący; ale

aby cel ten osiągnąć, należało pozyskać wpływy na Rusi Czerwonej i przez nią płody nasze ku morzu Czarnemu skierować.

Już Kazimierz Sprawiedliwy nawiązywał z Rusią stosunki, pomagając księciu Romanowi do pozyskania księstwa Halickiego; lecz niewdzięcznością wypłacił się Roman: napadał na Polskę i marnie zginął pod Zawichostem, skutkiem czego zawrzała niechęć między dwoma narodami słowiańskimi. A tylko zgoda mogła je ocalić przed hordami Tatarów. Upadły pod ich jarzmem wschodnie dzielnice ruskie, zachodnie zaś, bliższe nam, musiały u sąsiadów szukać oparcia od zagonów mongolskich. Różni zgłaszali się opiekunowie, miały chrapkę Węgry na grody czerwieńskie, ale były obcym szczepem, więc pozyskać sobie przyjaźni Rusinów nie umiały. Wyciągała do Haliczan ręce Litwa, która pod księciem Olgierdem urosła w potęgę; ale Litwa, niszczone i pustoszone przez Krzyżaków, nie dawała przystępu do cywilizacji, — otwarte do niej wrota wiodły tylko przez Polskę.

Zgodę dwóch pokrewnych narodów ułatwiło małżeństwo. Książę mazowiecki, Trojden, zaślubił Marję, córkę Lwa, księcia ruskiego, i tym to sposobem pokumał się król Kazimierz, głowa Piastów, z panującą na Rusi rodziną Piastowską, a po jej bezpotomnem wygaśnięciu został panem nie tylko Lwowa, ale całej Rusi Czerwonej z częścią Wołynia. Sąsiedzi Słowianie z obu brzegów Sanu wyciągnęli do siebie ręce; wiele też rodzin z nad Wisły zaczęło przenosić rodzinne gniazda na Podkarpacie i w głąb Rusi, wprowadzając tam żywioł

polski. Zdobywano nowe ziemie dla Ojczyzny nie mieczem ani uciskiem, tylko pługiem, to jest zgodną na roli pracą.

Przez zajęcie krajów nad Sanem i Bugiem opanowała Polska cały górny bieg Wisły, stała się też ona za Kazimierza wewnętrzną naszą rzeką, co przyniosło tę korzyść, że z większą siłą można było przeć na jej ujście i hamować butę krzyżacką. Obsiedli oni Pomorze, jak rój obsiada smaczny owoc, i do os podobni, wyruszali rycerze-rabusie na wyprawy zaborcze po ziemiach litewskich i pruskich. Że zaś w stał zakute mnichy umiały nie tylko po zbójceku napadać, ale i skrzętnie gospodarzyć w zdobytych ziemiach, więc bogactwa ich rosły. Nie w smak też szedł Krzyżakom rozrost Polski, bo hamowaliśmy ich handel, oddając słusznie tą samą monetą, jaką nam płacono. Za utrudniony wywóz naszych towarów przez morze Bałtyckie zamykaliśmy im drogę zbytu bogactw do Czech, Węgier i do Rusi, gdyż cały handel pomiędzy północo-wschodem a południo-zachodem skupiał się w miastach polskich.

Korzystały bowiem one z tak zwanego »prawa składu«, to znaczy: nie przepuszczały żadnego obcego kupca w głąb kraju, tylko zakupywały od niego towar i towar ten w drugą stronę świata same już wysyłały, zarabiając suto na pośrednictwie. Jeżeli zaś handel bogacił miasta, to jednocześnie dawał wielkie zyski i królowi przez cło czyli myto, tak bowiem zwano podatek, który monarsze płacili kupcy za prawo przewozu towaru przez Polskę. Podatek taki płaci się zwykle na granicy

państwa, ponieważ jednak granice pokryte były wówczas gęstymi lasami, więc cło odbierano w zamkach, zbudowanych na głównych traktach lądowych i wodnych.

Płacono zatem graniczny podatek w Poznaniu, gdyż tam zbudowana była komora dla poboru cła od towaru, splawianego Wartą. Inne komory znajdowały się po różnych ziemiach Polski: w Korczyniu nad Wisłą, w Lubiążu nad Odrą, w Drohiczynie nad Bugiem, w Wiznie nad Narwią. Cła pobierali urzędnicy królewscy, a wypłacano je najczęściej w naturze; od wozu przewożonej soli kupiec był obowiązany dać tyle sit soli, ile koni było zaprzężonych do wozu, od wozu śledzi płacił pół kopy śledzi od każdego konia. Towar, pobrany na komorze, sprzedawali urzędnicy mieszkańcom miasta, a pieniądze, za niego uzyskane, wnosili do kas królewskich. Inny zaś pieniądz bito w Polsce za Kazimierza, niż niezgrabne monety za Bolesława Chrobrego. Już za Łokietka pojawiły się w Polsce pierwsze polskie dukaty złote; nazywano je czerwonymi pieniędzmi dla odróżnienia od srebrnych, jak wówczas mówiono, białych, lub czarnych czyli miedzianych. Długo też w Polsce dukaty nieinaczej, tylko czerwonymi złotymi albo wprost czerwienicami nazywano.

Stały w skarbcach królewskich skrzynie i beczki z czerwonymi, białymi albo czarnymi monetami, a że król Kazimierz nie był skąpcem, tylko mądrym gospodarzem, który dobrze bogactwa użyć umiał i jedne mnożył drugimi, więc pieniążki nie pleśniały bezużytecznie w szkatule, tylko szły mię-

dzy ludzi, dając zarobek tysiącom pracowitych rąk.

— A co robiły te ręce? — zapytacie.

Wiele czekało na nie pracy! Toż osadę niełatwo odbudować po pożarze, cóż dopiero cały kraj po zalewie tatarskim. A przecież należało także wyrównać trakty handlowe, po których dudniły wozy z towarami, należało wycinać puszcze, osuszać bagna, żeby przybywało pola pod zasiew. Gdy zaś wykarczowane niwy dały plon obfity, musiał skrzętny gospodarz zbijać szkuty¹⁾ na rzekach do splawu pszenicy, żyta, owsa, lnu, musiał stawiać śpichlerze, żeby było gdzie ziarno chlebne zsypać i przechować.

Kazimierzowskie, króla chłopków śpichlerze!

Tak po dziś dzień nazywa lud wielkie budowle nadrzeczne, do których w czasie urodzaju zsypywano zboże, aby, gdy z kolei nawiedził Bóg kraj kłeską, wydawano z nich ludowi ziarno na zasiew i na chleb. Śpichlerze stały i stoją nad brzegami Wisły. Widzieć je można w Sandomierzu, w Zawichoście, w Kazimierzu, że więcej miast wyliczać nie będę. Ale oprócz śpichlerzy, zabudowała się Polska mnóstwem gmachów murowanych, których ogień nie niszczył tak łatwo, jak dawne drewniane. Stawiano na granicach kraju zamki obronne; że były one mocne, mamy tego dowód, bo oparły się nie tylko tatarskim, ale szwedzkim i austrijackim pociskom. Przetrwały 500 lat, jak zamek sandomierski. Stawiano kościoły; po całej

¹⁾ Rodzaj wielkiej, szerokiej, płytkiej łodzi.

ziemi polskiej rozsiał Kazimierz nowe świątynie, a że były piękne, mamy tego dowód na kościele panny Marji w Krakowie. Słusznie szczyła się Polska sławnymi architektami, którzy wedle własnego »wiślanego« stylu, to jest sposobu i gustu, wznosili gmachy; nawet Niemcy wzywali budowniczych polskich do stawiania swoich świątyń.

»Jaki pan, taki kram«, mówią ludzie, i jest w tem przysłowiu wielka prawda. Za przykładem Kazimierza szli biskupi i dostojnicy świeccy; oni więc także budowali grody z kamienia, opasywali je murami dla obrony od nieprzyjaciół, stawiali świątynie, a przy nich mocne kwadratowe dzwonnice, z licznymi otworami do strzelania; były to jakby małe warownie, bo broniły kościoł od rabusiów, chciwych na skarby, zebrane przez pobożnych parafjan.

Nie potrafię wyliczyć gmachów, miast z ratuszami, sklepów, jak sławne Sukiennice krakowskie, które budowano po wszystkich ziemiach. Połamał nieraz Tatarzyn zęby na obronnych murach, basztach i bramach miast; kryła się za niemi od jego napaści ludność wiejska, a znajdowała w nich bezpieczny przytułek i nauka, bo w obronnych grodach gromadziły się na nowo biblioteki, uczeni przepisywacze mnożyli bogactwa umysłowe, przybывало ksiąg, te zaś księgi zdobyli malarze pięknymi rysunkami i malowaniami.

W bezpiecznem schronieniu pracowali też chętnie mistrzowie różnych sztuk i rzemiosł, spokojni o jutro, doskonalili swoją robotę; więc kamieniarze wykuwali piękne posągi na grobowce,

złotnicy odlewali kosztowne kielichy i monstrancje, a pieczętarze rzeźbili godła rycerskie i biskupie.

Długo opowiadałam wam o królu Kazimierzu, chciałam bowiem, abyście porównać mogli dwóch gospodarzy, żyjących w kolei wieków na dwóch krańcach rodu Piastowskiego. Pierwszy to Bolesław Chrobry, »ludów swoich pan dobry, ale straszny na zdrajce i wrogi«, wielki żniwiarz, który po pobratymczych słowiańskich ziemiach zbierał kłosa, żeby z nich uczynić mocną więź narodu.

Kazimierz, ostatni Piast, gdyż, ku wielkiemu żalowi całej Polski, nie zostawił po sobie syna i następcy, Kazimierz, król chłopów, to drugi mocarz, ale inny od swego pradziada.

Chrobry sam za cały naród miał zrozumienie spraw ojczystych; był też nietylko wodzem, ale sędzią i panem wszechwładnym, który mocą wielkiego hartu duszy i wielkich zdolności porwał za sobą wszystkie ludy, w skład państwa wchodzące, i ludy te nietylko umiał utrzymać w karności, ale umiał wpoić w nie miłość dla wspólnej Ojczyzny, Polski.

Z Kazimierzem było inaczej. On nie mógł swoją tylko siłą dźwigać wszystkich spraw państwa, raz dlatego, że spraw tych od czasów Chrobrego namnożyło się bardzo wiele, i były one różnorodne, przeto jeden człowiek podjąć im nie zdołałby nigdy; powtóre dlatego, że oprócz monarchy setki, nawet tysiące ludzi rozumiało już obowiązki swoje względem Ojczyzny i pragnęło dla niej pracować razem z królem. Nie był więc Kazimierz jedynym sędzią, jak Chrobry, lecz był zato stró-

żem mądrego i sprawiedliwego sądownictwa; nie rozkazywał sam po powiatach, lecz czuwał nad roztropnym zarządem wszystkich ziem; nie świecił sam jeden rozumem, jako jedyne słońce na całą Polskę, lecz chlubił się tem, że około jego tronu gromadzili się uczeni, którzy sławą własną przysparzali chwały Ojczyźnie.

I tego właśnie należy pragnąć, aby jak największy był udział obywateli wszystkich stanów w pracy nad postępem narodu. Jedna jabłonka, chociażby najpiękniejsza rodziła owoce, nie stanowi sadu, bo robak może podgryźć korzeń drzewa, jabłonka uschnie lub rodzić przestanie, i ogród przepadnie. Tymczasem w gęstym sadzie zawsze część drzew obrodzi; niechby nawet wiatr postrzącał owoc z słabszych płonek, zdrowe oprą się zarazie. Ze tak jest, macie dowód właśnie na Bolesławie Chrobrym. Jego bohaterstwem, jego tężyzną stała Polska, ale ponieważ nie było w niej odpowiedzialnych za swe czyny obywateli, tylko byli ślepo posłuszni poddani i słudzy-wyręczyciele, więc po śmierci wielkiego króla brakło ludzi do prowadzenia dalszej jego pracy.

Z Kazimierzem stało się inaczej. Liczył on w swoim państwie bardzo wielu ludzi, których obywatelami, to jest świadomymi swoich obowiązków względem Polski nazywać mamy prawo; to też choć Piast ten nie zostawił syna, ład w kraju utrzymali inni cnotliwi synowie matki-Ojczyzny.

Ale o tym ładzie będzie potem. Teraz czas opowiedzieć wam coś weselszego, a mianowicie o uroczystości, jaka się za niego odbyła w Kra-

kwie, bo przez nią to właśnie stała się wiadomą całemu światu potęga i zamożność króla chłopów.

Z trzech żon, jakie kolejno zaślubiał Kazimierz, nie dał mu wprawdzie Bóg syna, ale pobłogosławił go zato córkami i wnuczkami. Jedną z tych wnuczek zaswatał cesarzowi niemieckiemu, Karolowi Czwartemu, i w Krakowie wyprawił wesele młodej parze. Zjechali na gody, oprócz pana młodego, Piotr, król Cypru, Waldemar, król duński, Ludwik, król węgierski, a przybyli także książęta udzielni: mazowiecki, świdnicki, pomorski i bawarski.

Pomyślcie teraz, jak strojnie, bogato, szumnie, wystąpić musieli ci królowie i książęta, żeby się godnie pokazać na dworze Wielkiego Kazimierza. Sława monarchy polskiego daleko i szeroko rozeszła się po świecie, skoro niedawno właśnie, uproszony o tę usługę przez papieża, był nasz Piast sędzią, rozjemcą¹⁾ i pośrednikiem w sporze, jaki wiedli między sobą cesarz niemiecki z królem węgierskim. Nie nowiną było więc dla Kazimierza gości w murach Krakowa dumnego cesarza Niemiec; przybywał on wprzód pozwany na sądy, teraz zaś jako narzeczony pięknej wnuczki króla polskiego.

Jak niegdyś Chrobry w Gnieźnie i Poznaniu, tak po latach wielu Kazimierz przygotowywał ucztę na przyjazd dostojnych gości; ale wtedy Otto trzeci raczył miłościwie Bolesławowi własną koroną użyć blasku, a teraz korona Kazimierzowa świeciła

¹⁾ Godzący spory.

największą potęgą w gronie zebranych książąt i królów.

Że Polska ze zniszczonej najazdami stała się kwitnącą pod rządami Kazimierza Piasta, o tem przekonać się mogli goście królewcy nie tylko z wielkości i piękności stolicy krakowskiej, nie tylko ze wspaniałości godów weselnych, które trwały dni dwadzieścia, ale z miłości, jaką naród otaczał monarchę. Szczęśliwy lud weselił się razem ze starym królem-gospodarzem; zastawiano ucztę w salach zamkowych Wawelu i na rynku, gdzie zuchy Krakowiacy krzesali ognia podkówkami i pobrzękiwali kółkami pasów, wznosząc wiwaty za pomyślność młodej pary. A ład i porządek panował wszędzie wzorowy. Goście, rozmieszczeni po gospodach w mieście, otrzymywali jedzenie z kuchni królewskich; pamiętano nawet o tem, aby był owies dla koni w kadziach na rynku, tak że każdy nabrać go mógł do woli.

Niemalą to trud mieć baczenie o wielotysięcznej gromadzie ludu, o królewskich, książęcych, i rycerskich orszakach. Trud ten wziął na siebie mieszczanin krakowski, Wierzynek. Był on podskarbinem królewskim i przez długie lata dopomagał swemu panu w prowadzeniu gospodarki narodowej. Chciał Kazimierz uczcić zasługi wiernego pracownika, a chciał też może pokazać monarchom-gościom, jaką zamożnością cieszą się jego poddani, dość, że przyjął zaproszenie Wierzyńka i razem ze wszystkimi królami i książętami, z zeswaną dopiero co parą cesarską przybył do domu podskarbiego.

Wierzynek wyprawił ukoronowanym gościom ucztę tak wspaniałą, że pisano o niej i mówiono długo po różnych dworach królewskich, ale swego monarchę przed cesarzem na pierwszym miejscu posadził i jemu szczególne okazywał uszanowanie. Potem zagranicznym gościom od złota i klejnotów wręczył upominki, Kazimierzowi zaś oddał wieniec z kłosów pszenicznych.

— Ty Miłościwy królu, nie potrzebujesz drogich kruszców i kamieni. Twojem bogactwem płody polskiej ziemi. Więc, jak dobremu gospodarzowi, garść zboża u stóp twoich składam.

Tak mówił Wierzynek, a mówił to, co czuł cały naród, oświecony i nakarmiony zapobiegliwością mądrego Piasta, który nauczył lud, że prawdziwym jego bogactwem jest praca.

Wesele wnuczki, wyprawione w nowo odbudowanym Krakowie, razem ze wszystkimi stanami, zgodnie biorącymi w niem udział, to było dożynkowe święto króla chłopków, mądrego gospodarza Polski.

»Plon ci, królu, plon,

»Dziś niesiemy w dom!« — wołał wdzięczny naród do monarchy, pod którym w niebywałą urósł potęgę.

Niestety, sześć lat tylko po pamiętnem weselu rządził jeszcze i gospodarzył Kazimierz. Mimo wiek podeszły zachował żywość i ochotę do łowów, a w lasach było wtedy pełno grubego zwierzaja: żubry, tury, niedźwiedzie, dziki, jelenie, łosie; na zającą nikt nie patrzył. Wychodziło też na polowanie po kilkuset ludzi, i to nielada dzieciuch

mógł się porwać z łukiem lub mieczykiem przeciw mocarzom leśnym. Nie znano rusznic¹⁾, nie strzelano kulami; myśliwy musiał z oszczepem, toporem lub z kordelasem²⁾ wpadać na zwierza i borykać się z nim, póki jeden drugiego nie powalił. Właśnie takie łowy lubił rycerski król. Wybrał się na nie w knieje sandomierskie i, goniąc jelenia, spadł z konia. Przewieziono chorego do Krakowa, wezwano uczonych medyków, ale niemoc się powiększała, i umarł Kazimierz r. 1370, mając 60 lat.

Umarł ostatni Piast, nie zostawiając po sobie syna, następcy na tron ojcowski, więc też pogrzeb ukochanego monarchy podwójną boleścią okrył serca wiernego narodu. Cała Polska spieszyła do Krakowa, a cały Kraków dążył na Wawel żegnać zwłoki ostatniego Piasta.

»Idą posepni, a grają im dzwony ze wszystkich kościołów,

»A grają im dzwony żałobne.

.....

»Szumią, łopoczą szarfami przyczołów³⁾

»Chorągwie, proporce pogrzebne.

.....

»A idą posepni ze wszystkich kościołów,

»Z cechami, wieńcami.

.....

»I chłopcy sukmanne i pany strojone

»W ponsowe żupany, delije,

1) Strzelba, broń palna. 2) Obosieczny, śpiczasty, nóż myśliwski. 3) Przyczoły — przy czole: miejsce główne najważniejsze, u drzewca chorągwi — szczyt

»I dziewczki przekraśne,

»Panięta przejasne,

»Jaśniejsze, niż białe lilije.

»A idą żałobni, a idą posepni

»Przez długie ulice podgrodne,

»A idą żałobni, a idą posepni,

»Choć niebo błękitem pogodne«.

(Wyspiański).

Takim pochodem ciągnął przez ulice Krakowa żałobny orszak na Wawel do katedry, w której obok trumny świętego Stanisława i obok trumny Łokietka spocząć miały zwłoki wielkiego króla chłopów, Kazimierza, ostatniego Piasta.

Płakano dobrego monarchy i płakano nad całym rodem kołodzieja, bo rozpamiętywano sobie, jak to przez 500 lat ród ten mądrze i dobrotliwie rządził ojcowizną, jako nie gwałtem, a zaś kielnią miłości budował jej potęgę. A teraz ród Piastowy kładł się do grobu!

Płakały go pany, strojne w ponsowe żupany, i chłopcy sukmanne, kość z kości Piasta, kołodzieje-rolnicy, jak on oracz kruświcki, ziemi ojczystej blizy, ziemię tę karmicielkę kochający, do niej przyrosli, jej głosów, skarg i poszumów najczujniej słuchający.

Płakali rodu Piasta, ale ród ten nie zginął, póki ludu wieśniaczego stanie. Kmiecie polscy są Piastami. Oni strzegli języka i obyczaju narodo-wego nawet tam, gdzie przed przemocą wroga ustąpił stan rycerski, na Kaszubach i na Śląsku.

Do nich, do tych Piastów rzetelnych, jak

przed wiekami do kmiecia kruświckiego, zwracają się dziś serca całej Polski! Niech kołodzieje pod lechowym znakiem orła ujmą się krzepką dłonią poprawy wozu ojczystego, niech go potoczą drogą pracy obywatelskiej, która do wolności wiedzie.

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH
Rzeczypospolitej Polskiej
Koło w Białymstoku
Lata 1921 r.

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą listę



RÓD PIASTÓW.

Piast i Rzepicha
Ziemowit
Leszek
Ziemomysł
Mieszko I-szy
Bolesław Chrobry
Mieszko II-gi
Kazimierz Odnowiciel

Bolesław Śmiały

Władysław Herman

Bolesław Krzywousty

Władysław II. Bolesław Kędzierzawy. Henryk. Mieszko Stary. Kazimierz Sprawiedliwy

Bolesław Wysoki

Władysław Laskonogi. Konrad. Leszek Biały

Henryk Brodaty

Kazimierz. Bolesław.

Henryk Pobożny

Władysław Lokietek. Leszek Czarny.

Kazimierz Wielki.

M. RODZIEWICZ

KAMIEŃ ❁ CIOTKA

WPISANY DO HEROLDYI

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej

Koło w Białymstoku



Imię 192 r.

Nr

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą liczbę.

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1910

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej

Koło w Białymstoku

Imię 192 r.

Nr

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą liczbę.

ZWIĄZEK
INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej
Koło w Białymstoku

lata 192...

Nr

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą listę.

KAMIENIE.

Nie było na świecie kamienistszej drogi, niż ta, która wiodła z Woli do Wólki. Czart chyba tyle kamieni nasypał na utrapienie ludzkie. A nie tylko droga wśród pól, lecz i pole, i łąka, i wiejskie ogrody, i pastwisko najeżone było kamieniami. Były drobne i duże, gładkie i ostre, były takie, co łamią lemieszę, i takie, co szczyrbią kosy, i takie, co kaleczą bosc stopy, i takie, którymi się w kłótni kamieniuje słabszego, a wszystkie były przeklęte po tysiąc razy.

Przeklęte były za jałowość ziemi, w którą rzucone ziarno obumierało pod ich ciężarem, przeklęte za poniszczone przez nie koła i narzędzia, za pokrwawione na nich stopy i okulawione bydła; mieszkanię każdy Woli i Wólki, gdy mówić zaczynał, już umiał kłać kamienie i kłał je aż do śmierci. Kłał, narzekał, cierpiał, ale ich nie uprzętał. Ktoby tej klęsce poradził? — gdzie je podziąć?

Nie miał na to nikt ani czasu, ani ochoty, ani sposobu — nad siły to było gromady. Gdyby za



nie płacono, toby się kto połakomił na zysk; gdyby za to kto nagrodę obiecał, toby inny może na to się ułasił — ale wszyscy tylko narzekali, klęli i cierpieli, i tak trwało. Pole i łąka coraz mniej rodziły; podróżni omijali Wołę i Wólkę; naród ubożał, drobniał, smętniał — i tak trwało.

Aż się trafił z Wólczan jeden — inny. Jan się zwał, a Sokół po ojcach. Silny się udał — na głód i nędzę cierpliwości nie miał, wyrostkiem od tych kamienistych pól uciekł kędyś w świat, i lat dziesiątek wieści o nim nie było. Gdy wrócił, to znalazł te same kamienie, te same markotne, nędzne twarze, tylko nie zastał w chacie ojca, ni dobytku, ni sprzętu. Ojciec umarł, a co po nim zostało, rozgrabili swojacy, krewni i przyjaciele — jako zwyczaj jest. Mógł Jan po sądach chodzić, prawa i sprawiedliwości szukać, swoje odebrać; byli winni nawet w strachu, ale gdy słowa nie rzekł, porażnieli, i nawet po pewnym czasie poszeptowali z sobą, że albo ich się boi, albo głupi jest. I tak się zostało.

A Jan ze świata przyniósł z sobą trochę grosza i jakąś nie tutejszą ochotę i siłę. I zaraz jął się do tych kamieni. Uprzątnął je z podwórza i z gumna i uczynił z nich sobie chatę; uprzątnął je z sadu i uczynił z nich płot wkoło swej osady. Uprzątał je z pola i z łąki, siał, zbierał, kosił i bogacił się.

Ludzie go znienawidzili z zawiści i ze wstydu. Nazwali chciwcem i skąpcem, posądzali o czary. On też z tej ciąglej zabiegliwości i pracy stał się milczący i zatroskany, pogardzał próżniakiem i ubo-

gim, nieużyty był, sobą tylko, swą pracą i dobrem zajęty.

Zdało się, jakby z tej masy kamieni, które ściągnął, część mu duszę przywaliła i gniotła. Taką dostał szarą i twardą twarz, takie zimne oczy, takie milczące, zaciśnięte usta. Nikt jemu i on nikomu nie dał nigdy dobrego słowa. I tak trwało.

Jednej późnej, błotnej i zimnej jesieni wracał Jan z jarmarku do domu. Jechał powoli, bo w rozmięklej ziemi wyszczerzyły się wszystkie drożne kamienie i trzęsły wozem okrutnie. I Jan, choć trzos miał pełen na sobie, klął w duchu i tę ziemię, i tych ludzi, a wszystko za owe kamienie.

Aż oto, gdy mijał figurę u rozstaju, wstała z głazu, który tam leżał, kobieta i zawołała na niego:

— Gospodarzu dobry, podwieźcie mnie krzyne!

Chciał minąć obojętnie, ale spojrzął na nią, i tak mu się jakoś litościwie zrobiło w duszy, że stanął.

Kobieta lekko skoczyła na wasąg, i ruszyli.

Konie parsknęły wesoło, zastrzygły uszami a wreszcie zarżał prawy kasztanek, jakby na ochotę, choć błota miał w kolana, a wyboje bezdenne.

Jan się obejrzał na kobietę; uczuł chęć do rozmowy.

— Z daleka wy? Nie tutejsza?

— Z dalekiej dali idę. Miejsca sobie szukam.

— Toście w złą stronę zaszli. Tu wam chleba nikt nie da, bo sami nie mają. Ot, nahodowali kamieni; nic tu więcej niema u tych hultajów.

— Niebożęta biedne! Twardy mają żywot — odparła litościwie kobieta. — Przecie i kamienie miłować można.

— A toć miłują, miłują, chowają i szanują. Żadnego nie uprzątą! — zaśmiał się gorzko Jan — chyba ukamienować brata, to ruszą kamień z miejsca.

— Wam to Bóg szczęścił!

— Pewno, że i Bóg, alem się na Opatrzność nie oglądał, tylko ręce zakasał i robił. Ho, ho! żeby wszyscy tak robili, toby mieli; ale oni wołają kamienie gryźć, a próżnować, a ze mnie drwić, albo mi dokuczać. Takci i mają gałgany, jako są warci!

— Trza wam było ich uczyć, namawiać, pomagać!

— Aha, pewnie, a za co? Że mi ojcowiznę rozgrabili i pokradli! Jako warci, takci mają.

— Sprawiedliwie. Jak kto dla siebie robi, to wedle tego i ma — westchnęła kobieta.

Milczeli chwilę, aż Jana snadź myśl jakaś trapi, i rzecze:

— Tak mi się coś zdaje, jakbym ja was już widział niegdyś, i głos mi się zda podobny.

— Dobrą pamięć macie. Lat dziesiątek temu tośmy się spotkali na tejże drodze, jakeście z obczyzny do domu wracali. Szliśmy wpodłe¹⁾ aż do wsi i gadali z sobą. Chcieliście mnie ugościć w chacie, ale zaraz u karczmy ludzie wam powiedzieli, że ojciec umarł, dobytek zmarniał, więcście mnie

¹⁾ Obok siebie.

nie prosili więcej, i rozstaliśmy się. Dobrą pamięć macie!

— A wyście też jednaka, jakby to wczoraj było.

— Aha, ja zawsze jednaka! — powtórzyła wesoło kobieta.

Wóz skręcił w zagrodę dostatnią, w bramę zamczystą, w podwórze gładko wybrukowane i stanął przed murowaną chatą. Czeladź wybiegła konie wyprzęgać. Weszli do izby. Jan zaraz parobka za jakąś opieszalność zestrofował, dziewczkę do roboty napędził i żony jął rozpytywać o zajęcie dzienne, o pracę, o dochody, o bydło.

Żona, zapracowana, zmęczona, a niespokojna, czy rad będzie sprawom domowym, czy nie mało zrobione, odpowiadała zalekła, służba milczała, dzieci patrzyły mu w oczy pokornie, a trwożnie.

Kobieta podróżna u progu na ławie pokornie usiadła i rozglądała się po izbie i ludziach.

Nikt nie śmiał spytać, ktoby była, czego chce, boć ją gospodarz przywiózł. Patrzali tylko na nią ciekawie. Oczy miała modre i słodkie, a wesołe, i twarz jako jakie kwiecie cudne, i szła od niej jakaś lubość i rozradowanie, jako od rozkwitłej na wiosnę czeremszyny. Dzieci wlepiły w nią oczy, a ona na nie skinęła, i jako słowo rzec, tak już przy niej były i na kolana się wgramoliły, i do piersi przypadły, śmiejąc się i świergocąc. A za dziećmi i matka podeszła, i poczęły z sobą coś szeptać. Dziewka, która przędła, opuściła wrzeciono i słuchała owych głosów i śmiała się, a parobek,

który wszedł właśnie, konie oprzątnąwszy, dorzucił dREW w komin i rzekł:

— Ogrzejcicie się. Narąbię dla was cały sążeń!

Jan na nic nie zważał. Wysypał na stół pieniądze z trzosa i rachował.

A wtem drzwi skrzypnęły, i wszedł sąsiad. Popatrzał na białe srebro i westchnął, a pozdrowiwszy, zagaił:

— Wiecie, Janie, podatki zbierają.

— Wiem, co mi za kłopot! Na swoje mam.

— Wiadomo, i więcej macie. Pożyczcie mi, albo ostatnią krowę zabiorą.

— A tyś mi pomagał kamienie zbierać?

— Na swoim zbieraliście!

— I dla siebie. Było tobie także na swoim zbierać.

— Sprawiedliwie mówicie. Dał wam Bóg większy rozum i siłę, poratujcie głupszego i słabszego. Dobrem sercem wam odpłacę.

— A mnie poco twoje serce? Kamienie od was miałem i kamień każdemu z was dam!

— Gospodarzu, dajcie mu poratowanie! — odzywa się podróżna kobieta.

Obejrzał się na nią proszący i zapłakał.

A Jan, jakby nie słyszał, odrzeczł:

— Co mam, dla mnie jest, nie dla hultajów i próżniaków. Idź precz i giń, boś tego wart. Onegdaj ukradłeś mi siano z łąki. Jeszcze cię za to w kryminale osadzę!

Sąsiad już więcej nie śmiał mówić.

A podróżna rzecze:

— Ubogi jest, darujcie, rozumu nie ma, w bie-

dzie jest, nie dajcie mu zginąć. Miłościwy bądź, bogaczu mądry!

Jan srebro zgarnął i w tym szeleście nie dosłyszał, co mówiła, a sąsiad przekleństwo zamruczał i wyszedł. Ale wnet za nim wsunęła się stara kobieta.

— A czego znowu? — Jan ostro zagadnął.

— Sąsiadzką przysługę mi uczynicie. Zanie mogła mi córka, w gorączce majaczy. Pożyczcie waszych koni po doktora pojechać.

— A gdzie wasze konie?

— Toć wiecie, że w lato klacz nogę złamała, i dobili. Nie mamy żadnego.

— A skądże ja mam? Czemu moje nogi nie kręcą po kamieniach? toć wasze pole z mojem o miedzę, i tyleż macie ziemi! Wy mi wydziwiali, jakem zbierał i uprzątał głązy, nie pomogli, nie skorzystali, jeszcze mi ze swego pola na złość podrzucali. To teraz do mnie o ratunek nie chodźcie. Co mam, dla siebie mam.

— Janie, miejcie-że Boga w sercu! Dziecko mi chore! Wasze konie, jak lwy, co im to znaczy ta trocha drogi!

— Wy ich nie karmili. Ja karmił, i dla mnie robić będą! Idźcie mi z oczu.

— Gospodarzu, pomnijcie na wasze dzieci, poratujcie! — rzecze wędrowna kobieta.

Ale Jan srebro do skrzyni chował i jakby nie słyszał, a sąsiadka, płacząc, wyszła.

— Wieczereż staw! — zawołał Jan na żonę.

Poskoczyła do garnków, rozszedł się zapach dobrego jadła, zabrzączały misy i łyżki.

A wtem w progu stanął chłop blady, z próżnym workiem pod pachą, rozejrział się, przełknął ślinę i, podrapawszy się w głowę, rzecze:

— Przyszedłem do was pożyczyć pół korca żyta.

— Pożyczyć! — zaśmiał się Jan! — A z czegoż oddacie? Toć jeszcze nie zima, i już swoje zjedliście!

— A zjedli. Siedem gęb w chacie. Nie urodziło! Da Bóg lepiej na przyszły rok, to oddam. Tymczasem jeść trzeba — odparł chłop i stęknął. — Wy do zbycia macie, to wam nie bieda, jak mniej sprzedacie.

— Pewnie, ale, co zjem, to moje, co sprzedam, to też moje. Twoje u ciebie, nie u mnie. Idź, pożycz u tych, którzy rozgrabili moją ojcowiznę. Lekko im przyszło, pewnie zabogacieli.

— Dobrze wam drwić. Wiecie, że, oprócz was, nikt nie ma. Do kogóż pójde? co jeść dam, jak wy nie poratujecie? U mnie w chacie już trzy dni nie jedli.

— A u mnie jedzą trzy razy dziennie to, com temi oto rękoma z tych kamieni, co wy hodujecie, krwawą pracą wydarł. Było tak samo robić, tobyście mieli, a nie chcieliście, woleliście spać i na mnie psy wieszać, to teraz żryjcie kamienie i idźcie do dyabła, który je wam nasypał.

— A pewnie pójdziemy do dyabła. Głód do nieba nie zaprowadzi! — burknął chłop.

— Do wieczery! — zawołał Jan, spojrzął na kobietę w kącie i wnet oczy umknął.

A ona wstała, pocałowała dzieci, skinęła głową wszystkim i rzecze:

— Żegnajcie, nie będę z wami wieczerała, ni u was gościła. Nie mogę zostać. Mój brat tu przyjdzie do was.

— Zostańcie! — raptem zawołali wszyscy.

A ona nasunęła plachtę na oczy modre i lez pełne i rzekła:

— Nie mogę! Radabym! Żegnajcie, gospodarzu! Ja do was przyjdę jeszcze raz, kiedyś... Teraz wam mego brata trzeba, ale ja potem do was przyjdę, przyjdę! Żegnajcie, żegnajcie!

I przewinęła się wśród nich i przepadła w czarnej sieni.

A w izbie jakby pomroczalo, poziebło, i zrobiła się cichość; tylko dzieci uderzyły w długi, żalnosny płacz.

Ale wprędce wśród pracy i zabiegów zapomnieli o gościu, i nikt go więcej we wsi nie widział.

Nastała zima, i znowu raz, gdy Jan z miasteczka z targu wracał, przyplątał się do niego pies siwy i aż do chaty za wozem przybiegł i na podwórzu został.

Nikt go zrazu nie zauważył, bo w chacie było co niemiara niepokoju i trwogi o dzieci, które tegoż dnia pochorowały się na szkarlatynę. Zaznały wtedy drogi spaste Janowe konie, poszło ze skrzyni sporo grosza, ale na darmo, bo jednego wieczora oboje dzieci pomarło. W izbie zawodziła matka ponuro, siedział milczący Jan, a za oknem pies przybłąda wył i skowyczał.

Wywieźli na cmentarz dzieci; do zarażonej chaty nikt nie wstępował; gospodarze jakby po-

niemieli; czeladź uciekła, bojąc się choroby. Wśród głuchej zimowej nocy czasem pies przybłąda zaskomlał żałośnie. Jan go przepędzał, kamieniami w niego ciskał, nikt go nie karmił, zimował na dworze, ale z osady nie było sposobu go się pozbyć. Podrzucił mu wreszcie Jan trutkę, na pętlę chciał pojąć: pies trutki nie brał, pętli uchodził, ale wracał i nocami skowytał.

W Zapusty wyprowadzono Janowi ze stajni konie wśród nocy. Gdy się rankiem obejrzał, popędził za śladem, poprzysięgając, że chyba padnie, a złodziei odszuka. Gonił ich mil kilkanaście, wreszcie dopędził w boru. Jednego konia ze złości zastrzelili, drugiego przecie odebrał, i napół żywy z męki wracał do domu. Czuł, że go niemoc dusi, że odchoruje, więc resztą sił do domu, do pościeli dążył.

O miłą był, gdy mu przejeżdżający znajomy rzucił, mijając:

— Nie macie do czego wracać! Ogień wymiół, co żyło i było.

Już Jan nie jechał i nie kierował, już go koń zaprowadził do owego — niczego.

Z osady zostało, czego ogień nie ima: ino kamienie.

A na zgłiszczach pies siwy siedział, i wył, i zawodził.

Takci też do jego wtóru zawył Jan i padł, objęty rozpaczą, i żalem, i śmiertelną chorobą, i więcej nic nie pamiętał, ni czuł.

Objęły go ognie i palily, aż zgorzał do cna, do głębokości duszy; smagały go bicze bólu, aż wysmagały wszystką krew, i gdy z owego ognia wy-

szedł, to był z niego ino popiół, ino zgorzel czarna. A na świecie właśnie uczyniła się wiosna. Przyleciał bocian do gniazda na Janowe gumno¹⁾: krążył, krążył i odleciał; przyleciały jaskółki pod strzechę chaty: szukały, świergotały i odleciały; zachodzili sąsiedzi, mówili do Jana, ale że im nie odpowiadał, odchodzili, ramionami ruszając.

I wreszcie tylko z nim na tych zgłiszczach pies przybłąda został, naprzeciw niego leżał i patrzył. Jan już nie miał siły, ni woli, by go odegnać, i nie miał mocy od jego oczu swych oczu oderwać, i tak byli jakby skute z sobą niewolniki.

Aż raz coś stanęło między nimi, a Jan oczy zmrużył, coś mu zadrżało pod żebrami, załaskotało w gardle i zapłakał. Owa kobieta wędrowna do niego szła przez pogorzel i kamienie, i objęła go za głowę litościwie, i utuliła do piersi, a on ze wnętrza duszy szlochać począł. Na zgorzel duszy szły łzy, jako deszcze majowe na popielisko jałowe, by wskrzesić trawy i kwiaty.

A wreszcie z jękiem do niej mówi:

— Uczyń co, by ten pies tak nie wył.

— Pójdź stąd, od wszystkiego, co twoje było, i przeszło, od tego, coś dla siebie zdobył, i coś stracił. Pójdź.

I uprowadziła go, okrywszy mu oczy połą swej płachty, a on, ufny, szedł.

Za wsią daleko rozdół²⁾ pusty i jałowy był, cierniem porosły, piołunami i bylicą. Tam spoczęli

¹⁾ Stodoła.

²⁾ Miejsce zapadłe między wzgórzami.

we dwoje, i on odetchnął, bo zgłiszcz osady stąd widać nie było, ni wycia psa słyhać. I zmożony, usnął.

A gdy się obudził, mocniejszy się poczuł i w sobie cichszy. Wokoło też wielka cichość pól była, i mał się świat. Poszukał oczyma owej kobiety-pocieszycielki i ujrzał ją, jak wśród niw szła i schylała się i coś zbierała w połę płachty. A ilekroć zbliżyła się do niego, to spoglądała litośnie i słodko i znowu z uśmiechem chyliła się do ziemi. Nie miał sił, by do niej iść, i z dziwem patrzył, że zbierała kamienie. A gdy płachtę miała pełną, rzuciła ciężar w ów rozdół jałowy, i znowu szła, chyliła się i brała kamień po kamieniu, każdy: i taki, co kruszy lemiesz, i taki, co tępi kosy, i taki, co kaleczy bosc stopy, i taki, który się w gniewie na bliźniego ciska; wszystkie zbierała, uprzętała.

A gdy znowu była blisko Jana, spytał:

— Co czynisz?

A ona z uśmiechem odpowiada:

— Chcę z ziemi tej zebrać wszystkie kamienie.

— Jakto? POCO?

— Aby setne plony dały niwy, aby nie krwawiły się stopy, aby nie niszczał dobytek i narzędzie, i aby nie kłątwy i narzekanie, jeno śpiew śmiech od pól tych ku niebu szły.

I wyciągnęła szeroko ramiona, jakby niemi cały świat objąć i ogarnąć chciała, i cała w jasności, w rozradowaniu, w szczęśliwości patrzyła w niebo.

A potem na Jana patrzy i mówi:

— Pamiętasz? takeś i ty chciał czynić, gdyś ze świata do dom wracał, gdyśmy to z sobą szli w podole.

— Chciałem, z duszy chciałem, ale mi ludzie krzywdzicie, szyderce, wrogi nie dali! I ty też ustaniez, jako ja.

— Nie ustane, bo ni dla siebie czynię, ni dla kogo. Nie ustane ja, nie ustane!

I znowu śmieje się, i schyla, i zbiera, a im cięższa płachta, tem się radośniej uśmiecha.

A Jan oczyma za nią idzie, i myśli, i rozważa. A cicho jest bardzo, i czasem dolatuje go od czarnej plamy zgłiszcz żalosne wycie, i wtedy szarpie go ból, krwawi się w nim pamięć.

— Uczyn, bym go nie słyżał, tego wycia — prosi.

— Nie słuchaj! Pójdź za mną, czyn za mną. Będiesz wtedy słyżał, jak ziemia gra, jak niebo śpiewa! Pójdź za mną.

— Niemocnym jest. Nie udźwignę!

— Spróbuj. Ze mną udźwigniesz i glazy węgielne!

Podniosła go, podparła ramieniem, poprowadziła; zaczął jej podawać do płachty kamienie zmocnił się, wyprostował, rozprężył ramiona.

Wtedy oddarła połowę swej płachty i opasała go nią, jako siewacze się opasują, gdy ziarno ziemi dać mają, i poszedł za nią.

A po znojnym dniu spoczęli na skraju owego rozdołu, od ludzi i gwaru dalecy, a on położył

głowę na jej kolanach i słuchał, co ona mu mówiła.

Uczyła go słuchać, jako cisza mówi, jako ziemia gra, jako niebo śpiewa — i słyszał.

I mówiła mu, jako tu będzie, gdy nie stanie kamieni, i poczynął się tem cieszyć i poczynął zapominać, czyje to pole i komu je zbiera, jeno radować się, że ich, tych kamieni, nie będzie.

A wśród tych rozmów usnął i nie słyszał wycia psa przybłądy, ani wspomniał swej osady.

I oto rozeszła się po woli i Wólce gadka, że Jan bogacz z nieszczęścia rozum stracił.

Osadę opuścił, wszystko swoje rzucił i oto jako obłąkany po polach chodzi, kamienie w płachtę zbiera i do wąwozu nosi. Ludzie patrzali na niego zrazu ze zgrozą i trwogą; myśleli, że co złego zamysła i pojmali go raz i zaprowadzili do gminy.

Ale Jan, gdy go pytano: co robi i poco? — odpowiedział:

— Kamienie zbieram, by ich nie było. Nic więcej już robić nie będę.

Urząd go badał, doktor go badał, wreszcie puścili.

Naród się z nim oswoił, uspokojony, że nieszkodliwe ma szaleństwo; wprędce też zaczęli go prześmiewać, przedrzeźniać — wiadomo: jako obłąkanego, który obronić się nie chce, czy nie umie, a może i nie rozumie wyśmiewań. Działwa za nim biegła, jak za cudakiem; ludzie go nazwali »głupim«, mało kto podał mu chleba kawałek i dobre słowo.

Ale Jan, jakby jednakowo głuchy był na urą-

gowisko, jak i na dobre słowo i posiłek. W ścianie wąwozu uczynił sobie schronisko, jak zwierz borowy; z nikim nie rozmawiał, o nic nie prosił.

On tylko zbierał kamienie. Schylał się, schylał, dźwigał, nosił, i zapatrzony w dal przed siebie, do kogoś się uśmiechał, z kimś bez dźwięku mówił, kogoś słuchał.

I tak czynił dni, miesiące, lata — całe życie.

W Woli i Wólce ubywało kamieni. Zauważyli to przejezdni i pytali, coby było.

— »Głupi« zbiera! — ze śmiechem odpowiadali miejscowi.

I ubywało z pola kamieni.

I sąsiad mówił do sąsiada ze śmiechem:

— Patrzaj-no, »głupi« teraz dla ciebie robi.

A wreszcie i do Jana zagadywali:

— »Głupi Janie«, toć zbierasz na polu owego, który ci ojcowiznę zagrabił.

Ale Jan na mówiącego patrzył jasnemi oczyma i odpowiadał bez związku:

— Z nią zbieram. Wszystkie zbiorę, by i glazy węgielne.

I zbierał. Aż wreszcie ludzi jakiś dziw ogarnął, i jakiś wstyd, i przestali się z niego śmiać.

I często patrząc na niego, niejednen stanął, i zadumał się, i schylił się, i pomógł mu kamień podnieść.

A kamieni ubywało i ubywało. Wieść się coraz szerzej rozchodziła, wreszcie ktoś możny zjechał, by się przekonać, co się tam stało.

Ale to było po wielu, wielu latach. I zdumiał

ów możny — w Woli i Wólce nie było już kamieni.

Nie było ni takich, co szcerbią kosi i lemiesz, ni takich, co kaleczą bosc stopy, ni takich, które się w złości na bliźniego ciska.

Anaród wesoly, i zdrów, i dostatni, zawiódlowego możnego do rozdolu, a rozdól był pelen kamieni.

A na skraju, na progu schroniska, bo to wieczór był, siedział »głupi Jan«, latami stary, a prosty, krzepki, z jasnemi oczyma i pogodną twarzą.

— Tyś zebrał te wszystkie kamienie? — pyta z podziwem możny.

— Z nią wespół!

— Z kim z nią?

— A ot, z nią! — i pokazuje koło siebie.

— Toć tam nikogo niema.

— Dla was niema, i ze mną niegdyś nie była.

Przeto kamienie były, a teraz ich niema.

— Głupi jest, — tłumaczą ludzie szeptem — ale dobrze czynił.

— Możebyś czego pragnął za to, coś uczynił? — pyta możny Jana.

— Cobym i wymarzył i wyśnił, to wszystko u niej jest, i wszystko mi daje.

— Jakaż ona jest? Opowiedz przecie.

— Nie widzisz to jej?.. biednyś ty, nieboże!.. to i nie zrozumiesz, co ci opowiem o niej. Biednyś ty, biedny!

I litościwie nad tym możnym pokiwał głową »głupi Jan«, który za cały majątek miał zebrane z dróg i pól ludzkich ostre kamienie.

CIOTKA.

Zebranie koleżeńskie po dwudziestu latach. Dwadzieścia lat takich, od szkolnej ławy do czterdziestki — toć i całe życie. Co miało życie dać, nauczyć, co miało wziąć, co miało zniszczyć — wszystko w tej dwudziestce będzie. Bilans¹⁾ zrobić można!

Przedewszystkiem obrachunek członków. Było trzydzieści pięć młodych dziewcząt wtedy — teraz stanęło piętnaście. Gdzie reszta?

Jest parę depez, tłumaczących nieobecność niemożliwością przybycia, — daleka droga, choroba, stosunki rodzinne, — kilka i tego nie uczyniły, — »zapomniały« — ktoś mówi, »nie dbają« — inna dorzuca. Reszta odeszła w grób. Wspominki idą o nich — żal, opowieści, zasłyszane o doli; któraś kończy niemieckiem, nie dajęcem się lepiej wyrazić:

— *Verschollen!*²⁾

¹⁾ Obrachunek.

²⁾ Stracone, rozbitki

A ktoś podchwytuje spokojnie.

— Kto: *verschollen*? One? A my?

Patrzą po sobie i czyni się milczenie.

Istotnie, kto rozbitkiem? Te zmarłe, czy te żywe? W tych piętnastu czterdziestoletnich kobietach są wszystkie typy. Są elegancki dostatnie, udające jeszcze młodość i wdzięki, śmiejące się za wesoło — jedne, bo nie myślą, inne, bo wyobrażają sobie, że je tak widzą, jak one chcą się przedstawić. Są matki i mężatki, dumne ze swego stanowiska. Są wdowy, obarczone dziećmi, znękaną i wyczerpaną. Są stare panny zgorzkniałe, chore. Są sterane pracą zarobkową nauczycielki, są fanatyczki feminizmu¹⁾, o oczach gorejących, a poradzonych, zmiętych, jakby skwarem spalonych, twarzach. Są włosy czernione i wszelkie odcienie siwizny, są postacie zatyle potwornie i wychudzone na suchy badył, są oczy zgasłe, lub tłące złym ogniem histeryi²⁾, są zmarszczki śmieszne i tragiczne, i wszelkie odcienie brzydoty lat czterdziestu, od upudrowanej maski — do barwy i zwiędnięcia liścia opadającego.

Patrzą po sobie, i w duchu każda mówi o każdej:

— Jakże zbrzydła, zestarzała!

Żadna nie podniosła refleksyi³⁾. Zaczynają gwarzyć — atmosfera się ociepla, przychodzą zwie-

¹⁾ Dążenie do równouprawnienia kobiet.

²⁾ Choroba nerwowa.

³⁾ Uwaga, sąd, rozmyślanie.

rzenia, trochę blagi¹⁾, chwałą się, więcej narzekają — powoli gwar przechodzi w autobiografię²⁾.

Mężatki wiodą rej w rozmowie. Już się skupiły, już opowiadają sobie poufnie domowe życie i stosunki, choroby, drożynę życia, trudności szkolne, wstrętne nowe prądy wśród młodzieży, zanik posłuszeństwa dzieci, lekceważenie rodziców i tradycyi, trudność wydawania za mąż córek. Zapominają, że przecie chwaliły swój los — nikną udane uśmiechy i błaga — jest to litania skarg — obraz życia ciasnego, materializmu i powszedniości, jakiejś apatyi³⁾, bierności, nudy!

— *Verschollen!* — odzywa się głos spokojny.

To ta, co rzuciła refleksyę: kto rozbitek?

Spojrzałam na nią. Stała pod lampą wiszącą, założywszy ręce na piersi, słuchająca, uważna, a mało dotąd mówiła.

Od szkolnej ławy ją pamiętam: jej brzydotę już nawet nie pospolitą, ale taką, którą się na zawsze zapamięta, jej niefrasobliwy humor, i dobre koleżeństwo.

Z tych wszystkich ona jedna najmniej się zmieniła, — nie mogła zbrzydnąć, a zachowała tę dawną niefrasobliwość. Zestarzała, rozumie się, ale inaczej, jak tamte. W świetle lampy srebrzyły się włosy bujne, niedbale skręcone, ramiona były szerokie, formy grube, ale pełne siły. Powieki były już ciężkie, ale z pod nich świeciły źrenice śmiało,

¹⁾ Udawanie, przechwałki.

²⁾ Opowiadanie o życiu własnym.

³⁾ Zniechęcenie, obojętność.

prosto, wesoło. Uśmiechały się usta z dawnym niedbalym humorem.

— Ciotka! — zaśmiałam się i ja, zarażona.

Takeśmy ją zwali w szkole — przewisko uczynione z tego, że tę jakąś ciotkę miała zawsze na ustach.

Nikt nie wiedział o jej rodzicach i rodzeństwie, nie opowiadała o domu i stosunkach — tylko zawsze: co ciotka powie, co ciotka pisała, co ciotka poradzi.

Spojrziała na mnie, potem po wszystkich, i ozwała się głośno:

— Słuchajcie - no, koleżanki. Otośmy życie przeżyły, i nie lekkie było. Przecie szczęście być musiało w doli. Ja proponuję, żeby każda powiedziała, jak ono się nazywało.

— Szczęście! — podniosło się kilka szyderczych głosów. — Szczęście to niedotknięcie do rzeczywistości. O tem roją pensyonarki — i tyle!

— Ejże — nie bluźnijcie. Szczęścia pełen świat.

— Gdzie? Jak? Przecie nie dla kobiety niewolnicy!

— Nie dla pracującej na chleb powszedni.

— Nie dla żony i matki, obarczonej obowiązkami!

— Nie dla pozbawionej opieki wdowy!

Każda energicznie, z oburzeniem protestowała.

— Nie udawajże ty i nie wmawiaj w nas, żeś ty taka szczęśliwa.

— Nie wolno mi!

— Kobieta, która zostanie samotną, jak ty, nie może czuć się zadowoloną i szczęśliwą.

— A przecież wy, nie samotne — powiadacie, że szczęście nie dla żony i matki, obarczonej obowiązkami.

— To co innego. Nie zrozumiesz naszych rozkoszy macierzyństwa.

— A skądże wy macie rozumieć moje rozkosze? Ja szczerze, otwarcie przyznaję się do szczęścia, bo je odczuwam i posiadam.

— Samotność jest straszną rzeczą! Pustka! Zimno! Tylko egoiści mogą się w tem czuć szczęśliwi — westchnęła któraś ze starych panien.

— Kobieta, jeśli się czuje człowiekiem, przechodzi piekło, patrząc, czując, widząc naokoło krzywdę, ucisk, wyzysk i poniewierkę sobie podobnych.

— Jeśli kobieta człowiek — to nie sobie podobnych widzi poniewierkę. Kto człowiekiem być chce, być umie i jest — taka się poniewierce nie da!

— Frazesy, słowa! Życie inaczej twierdzi.

— Co jest życie?

— Bagno, w którym się duch ubabrze lub utopi.

— Nieprawda! — zaprzeczyła »Ciotka«, a oczy jej strzeliły ogniem. Życie jest źródłem, który ludzie zabagnili gnuśnością i egoizmem. Teraz możni — kładki dla siebie na niem ścielą i przechodzą, odwracając oczy od topieli, lub je mrużąc, bo im strach i wstyd. A nie możni — babczą się, chorują od wyziewów, klną — i płytkie studzienki kopią do picia! A słabych zalewa szlam, i giną! A źródło w głębi jest!

— A to źródło jak nazywasz?

— Miłowanie!

Poszedł pomruk:

— Oklepany frazes! Utopia!¹⁾ Mrzonka!

Mężatki poczęły się uśmiechać:

— Słuchajno, »Ciotka« — rzekła złośliwie jedna. — Wy wszystkie niezamężne wojujecie tym słowem. My coś wiemy o tem, jak to miłowanie wygląda w praktyce. Wy jesteście, jako te Nimfy²⁾, co karmią Chimere³⁾!

»Ciotka« zaczęła się śmiać.

— A wy: żony, matki negujecie⁴⁾ miłość?

Nie kochacie męża? dzieci? wleczenie życie, jak galernik kulę? Więc wy zabagniłyście zdroj rodzinego życia.

— Nie my! Nie one! Mężczyźni! Mężczyźni! — powstał już ogólny chór. Zaledwie parę milczało.

— Patrzcie! Co się namnożyło feministek! — śmiała się »Ciotka«. — A wiecie, kogo mi żal? Tych waszych mężów właśnie. Jakie zimne, puste, próżne i nudne muszą być te gniazda wasze, jeśli oni z nich uchodzą. Jakie wy nieznośne, kiedy was opuszczają. Widzę w myśli wasze sceny zazdrości i spazmy, lub milczące odęcia, wasze śladrowate neglige, wasze narzekania na służbę i dzieci, wasze nieuctwo w pedagogii⁵⁾ i higienie⁶⁾, wasze ciągle cherlanie, waszą pasyę do zalotności z in-

¹⁾ Rzecz niemożliwa, złudzenie.

²⁾ Boginki.

³⁾ Potwór mitologiczny, nienasycony.

⁴⁾ Zaprzeczacie.

⁵⁾ Nauka o wychowaniu.

⁶⁾ Nauka o zachowaniu zdrowia.

nymi, ploteczki i obmowę i wasze próżniactwo umysłowe.

A zresztą poprzysięgam wam: powiedzcie — czyście szły za mąż miłujące? czyście znalazły tego, z kim przysięgałyście życie przepracować? — czy też szłyście dla wygody, dla stanowiska, dla spokoju, dla tak zwanego zapewnienia losu, czyli, że mu dacie siebie — za utrzymanie, żeby używać i próżnować, i o bycie nie myśleć. Darujcie, taką dostawszy i tyle — mężczyzna krótko będzie rad. Ścisły jego umysł uczyni wprędce rachunek — i da wam w najlepszym razie to, o co wam w gruncie chodziło! Potępiajcie go, jeśliście bez winy!

Zgromadzenie przyjęło to obrażeniem milczeniem i szeptami. Kilka wstało i zaczęło się żegnać.

— Proszę ciebie! Mówisz, jak ślepy o kolorach — nie można dysputować¹⁾ z kimś, który wcale żadnej nie miał miłości w życiu! — rzekła jedna lekceważąco.

»Ciotka« rozplotła ręce i, oparłszy je na stole, przechyliła się do mówiącej, — twarz jej się mieniła.

— Ja nie znam miłości — ja! Dlatego, żem nie miała męża i dzieci! Kobieto! biednaś ty! Więc i ty nic więcej — i innej nie znalazłaś!

— A ty, prawda, kochałaś ciotkę! — ktoś ironicznie podchwycił.

»Ciotka« zwróciła się do siedzących opodal trzech.

¹⁾ Rozprawiać.

— Słyszycie to i milczycie — wy, co walczycie dla kobiet o równe prawa. Toć one ciskają wam obelgę, toć nie mężczyźni, ale one ideę waszą podkopują. Toć one dowodzą, że nie potrafią utrzymać domowego szczęścia i miłości w rodzinie, a negują miłowaniu innemu. Więc one nie wiedzą, że można miłować bliźniego i kraj, sierotę i zbrodniarza, kobietę nieznaną i każdego mężczyznę z jednym pożądanym — by razem bagno przekopać aż do źródła, co daje wesele bez pijaństwa, szczęście bez samolubstwa, życie — bez strachu śmierci!

A oto ja wam powiadam, że jałowa będzie wasza praca i próżny wasz zapal, póki tych nie uczynicie ludźmi!

A co do mnie — zaprzeczam wam prawa mnie sądzić, bom właśnie szczęśliwa i miłująca, a jeślim taka — to ciotce zawdzięczam. Tej ciotce, co mnie wiodła przez życie i uczyniła mi je promiennym — aż po grób.

Byście ją miały — i wy byłybyście inne.

Wyprostowała się i spojrzała już serdecznie.

— Zezłościłam was! Wybaczcie! Gorącość już mam taką — bo mi was żal — taki straszny.

Żebyście wiedziały, jak mnie dobrze!

Zaczęła się żegnać.

— To już chyba na zawsze! — rzekła smutnie któraś. — Po dwudziestu jeszcze latach nie zostanie nikt z nas.

— Ha, trudno — miniemy! Byle zostało coś z nas. Bez śladu dobrego minąć — nie daj Boże. Ale spocząć, jak spracowany robotnik — dobra rzecz.

— Pójdę z tobą! — rzekłam. — Zaraz odjeżdżasz?

— Idę na dworzec. Chodź! Pogadamy!
Wyszłyśmy.

— Słuchajno! Zapoznaj mnie z tą swoją ciotką. Gdzie ona? Jak się nazywa?

— Sofia! Zapoznać trudno. Mieszka to tu, to tam. Jak się kiedy trafi, będziesz u mnie, to cię do niej zaprowadzę! A chcesz ją przedtem poznać — przyślę ci moje notatki z różnych z nią rozmów. Chcesz — skorzystaj sama, chcesz — pokaż je tamtym — takim biednym!

— Naprawdę — przyślesz?

— Słowo! Dostaniesz za tydzień.

Byłyśmy na dworcu. Gdy pociąg ruszał — uścisnęłyśmy dłonie bardzo serdecznie.

— Czekałam! — zawolałam.

— Dostaniesz! — odparła. — Daj i im przeczytać.



WPISANY DO HEROLDYI ¹⁾.

— Sylwester Dubieniecki — masz list.

Stojący w progu kancelaryi Sylwester szybko podszedł, kopertę niezgrabnie adresowaną w rękę żywo pochwycił i cofnął się.

Podniósł z ziemi koszyk dość ciężki i wyszedł w milczeniu.

Na ulicy list w zanadrze schował i ruszył prędko, usuwając się każdemu z drogi, salutując bezustannie oficerów, w razie ścisku schodząc z asfaltu w śnieżne błoto ulicy.

Drab to był sążnisty, zbudowany jak atleta, o twarzy bez śladu zarostu, roztropnej, trochę ponurej.

Od dwóch lat, jak go do wojska powołano, służył u kapitana za kucharza, stajennego, lokaja, niańkę, praczkę i posłańca.

Minął ulic kilka, raz zbłądził, nie mogąc w swej głowie wieśniaczej zakarbować szachownicy miejskiej, wreszcie wszedł do bramy.

¹⁾ Instytucja, potwierdzająca dowody szlachectwa.

Stróż zamiatający rynsztok, zagabnął go :

— Ale, tu się jakieś żydzisko o was u mnie dopytywało.

— Dawno?

— Będzie chyba z godzina może, — gadał, co wieczorem będzie.

Żołnierz nieco wbok się zwrócił, purpurą nabiegły mu oczy. Prędko w podwórze wpadł i na schody kuchenne począł się drapać. Serce mu biło, jak na trwozę.

Wszedł do kuchni swojej, koszyk na stole umieścił, dobył list z zanadrsa.

Poznał pismo matki starej i dziecinnie się uśmiechnął. Niezgrabnymi palcami kopertę przedarł, i rozłożywszy arkusz na stole, wziął się do czytania, pochylony, ze zmrużonemi oczami, palce pod wyrazem każdym wiodąc i półgłosem zgłoszkując.

— Mój najmilszy synku Sylwestrze. Naprzód donoszę ja tobie, że cię świętami winszuję i błogosławię — Jezusowi Panu i Paniencie Przechyściej Kazimierzeckiej oddając pod obronę.

A do tego nie gniewaj się, synku, że my tu do ciebie, świątkując, żadnego pisma nie przysłali, ani nijakiego gościńca, ale wspominki byli o tobie i u nas w domu i na wszystkich Budkach; Marcysia też tobie pięknie się kłania, i Józia, i Oleśka, i Kazik, i Adolf, i Hipek Rudecki. Chrzestna twoja takóž, a stryj p o m a r ł. Wielkie frasunki były, bo Bóg ogień dopuścił, i przez to o d r y n a ¹⁾ z sia-

¹⁾ Szopa.

nem się spaliła, i jałozzka też zdechła, a kasztanka nocą jakieś hycle z pod zamku wzięli.

Więc siana jako niema, Kazik i Adolf uradzili woły sprzedać, a pole na połowę Srulowi oddać, albo też procesu zaniechać i do domu z niczem iść.

Ja też zaniemogłam w adwencie, bo chusty nie było, i trzewiki się zdarły, i takim się wykoztowała na felczera złotych siedem i groszy dwańście, za które Jenta chce wełnę wziąć, albo te dwie gęsi siwe, coś to dostał od chrzestuej, więc uradziliśmy...

— Sylwester! — rozległo się z głębi mieszkania.

Żołnierz ruchem maszynowym się wyprostował, rękawem oczy zaczerwienione otarł i wyszedł. Stąpał po wzorzystym chodniku, potem po lśniącej posadzce, aż stanął w drzwiach gabinetu, sztywny, z piersią naprzód podaną, z rękami przy lampasach.

Oficer bawił się z dzieckiem, które też wnet ręce do chłopaka wyciągnęło; wołając radośnie:

— Niania, niania!

— Konia mi osiodłaj, a żywo!

— Słucham!

Obrócił się na pięcie i wymaszerował według regulaminu.

Za chwilę był już w stajni, i konia siodlając, głowę miał pełną wzburzonych, dzikich myśli. Wiroowało mu w mózgu od tego nawalu wspomnień, które mu list narzucił.

Wieści z domu miewał rzadko, dwa, trzy razy

na rok. A za każdą widział jak na dłoni swe Budki Mazurskie.

Widział osadę o bielonych ścianach, o dachach z dranic¹⁾, rozrzuconą w wianek wkoło jeziora, otoczoną sosnami wiecznie zielonemi; widział płoty i sadki wiśniowe i drogę i pólka, powydzierane z pod boru, i sznurki łąk, a na straży karczmę starą, w której Srul mieszkał i Jente.

Było w Budkach tych trzy rody, rozrodzone na piętnaście chalup: Dubienieccy, Łabędzcy i Marcinowscy, skoligaceni²⁾ i spowinowaceni ściśle. W jego chałupie matka wdowa wyhodowała chłopców trzech i dwie dziewczyny, rządziła dotąd, posłuch mając bezwarunkowy. Widział i ją żołnierz; kobietę siwą, wysoką, suchą, o twarzy surowej i nakazującej uszanowanie. Miłował on też ją dusznie, głęboko.

Kasztan oficerski kręcił się i swawolił; ulan zębami popręgi dociągnął, wyglądził, munsztuk założył i podał przed bramą, trzymając cugle w jednej ręce, a strzemię w drugiej.

Oficer wskoczył na siodło i ruszył tęgim kłusem, szeregowiec w furcie pozostał, patrząc przed siebie, w jeden punkt, oderwany zupełnie od otoczenia.

— Mój ty Boże, mój ty Boże! a to ich opadło! O d r y n y niema, którą on sam z braćmi stawiał; kasztanka niema, białonogiego ulubieńca! Co to on się na nim do miasteczka najeździł. A teraz

¹⁾ Desek nieheblowanych.

²⁾ Spokrewnieni.

woly pójdą, i te półka Żyd wysie; a i stryj doradca pomarł, i gęsi się zwiódą czubate! Mój Ty Boże! za jedno półrocze. Pieniędzy im trzeba na siano!

Jeszcze, broń Boże, proces opuszczą, co go to latuś pod błogosławieństwem nakazywał ciągnąć, o tę miskę półmorgową z dworskiego boru. Lepiej duszę dyabłu zastawić, a tego starego porządku nie zaniechać. Pomódz im trzeba koniecznie i radę dać.

Dwanaście rubli z chaty poszło na niego, teby oddać, parę dołożyć, przeciągnęliby do wiosny może. Z wiosną Bóg opatrzy. Dwanaście rubli trzeba.

Sylwester przez dwa lata żadnej zapomogi nie otrzymał z domu, ale na służbie u oficera miał dochody drobne i tymi to swe potrzeby opędzał. Sprawił sobie nawet dwie koszule z jaskrawem u szyi oszyciem, scyzoryk, woreczek na tytuń i tombakowy łańcuszek do jeszcze nieistniejącego zegarka.

Teraz różne plany i sposoby chodziły mu po głowie. Nie on je pierwszy powziął — podsunął mu je handlarz, który do kuchni często zachodził po wymoki z herbaty, pierze z ptactwa, skórki zajęcze i tym podobne specyały.

Żyd pytał o owies, o tytuń, czyby kupić nie mógł. Dawno to już trwało. Żołnierz nie obiecywał wprost, ramionami wrzusał, coś mrucząc — nigdy w oczy kusiciela spojrzeć nie śmiał. Wreszcie mu obiecał, sam nie wiedząc, jak do tego przyszło, i odtąd po różnych kątach i schowankach zatykał rzeczy jadalne, ściągnięte z kredensu, czasami własne kęski. Od pewnego też czasu kasztan

oficerski mniej dostawał owsa, a na strychu pęczniał worek z ziarnem!

Teraz Sylwester skarby te srocze obrachowywał z dziwnem biciem serca.

Zbierze się może osiem rubli, Żyd da na przyszłość zadatek, a resztę..

— Sylwester! — zabrzmiał obok niego cienki głosik. Zadrżał i odskoczył od furtki. Była to pani kapitanowa w powrocie ze spaceru.

— Pana niema?

— Tak! — odparł już służbowym tonem.

— A ty czego tutaj gawronisz się? Obiad nastawiony? Produkty przyniosłeś?

On szedł za nią, odpowiadając machinalnie — słucham! — na wszystko.

Teraz ani o dokończeniu czytania, ani o snuciu planów nie było co myśleć.

Węgiel rozgorzał pod maszyną, rozległo się tłuczenie, siekanie, szcęk rądli, syczenie pary, a nad tem dyszkant pani kapitanowej i płacz dziecka.

— Po obiedzie upierzesz trochę bielizny, wytrzepiesz dywany, franki, i trzeba też oczyścić lampy, dziecko wynieść trochę na spacer. Potem z listem pójdziesz i kuchnię wyszorujesz przed świętem. No, no, tylko żywo z tym obiadem, pan za godzinę wróci.

Spocony, zdyszany żołnierz uwijał się z robotą. List go palił w zanadrzu, troska rozpierała piersi, ale ani przez myśl mu nie przeszło sekundę chociaż służby zmitrężyć.

A służba ta nie znosiła opieszałości. Krzątał się chłopak — od trzona do balii, od bufetu do po-

myj, od trzepaczki do dziecka. Cały dzień mu tak zeszedł, za krótki ten dzień zimowy. Jeszcze i pół wieczora zeszło na szorowaniu podłogi, na noszeniu drzew, węgla, na posyłkach.

Wreszcie spokój powrócił. W kuchni czysto sprzątniętej, białej, pod lampą wiszącą, na stole znowu zabielał arkusz papieru i ostrzyżona przy skórze jasna głowa szeregowca.

Był bez mundur, w koszuli podartej, spocony, wciąż nasłuchujący jakby nowego rozkazu.

I sylabizował dalej list matczyny:

— Więc uradziliśmy Oleśkę też do dworu oddać, że to chleb drogi, a od tych deszczów nie obrodził. O Marcysię dobijał się jesienią Maciek Łużycki, ale tak się to obeszło.

W Bogu i Matce Najświętszej nadzieja, że może wiosną dobry numer wyciągniesz, i że cię zdrowego zobaczymy.

Ochfiarowałam się na to do Kazimirki i na Wniebowzięcie tam chodziłam ze swojemi, a jako moje stare nogi tam mnie doniosły, tak sobie suponuję¹⁾, że i twoje młode ciebie nam rychło przyniosą.

Tedym ci z porządku doniosła już wszystko, co u nas słyhać, a tylko ciebie, synku najmilszy, przestrzegam, abys tam między narodem różnym duszy swojej nie zatracił, jako inni czynią. Żebyś, uchwaj, do wódki obyczaju nie nabral, bobys w piekle gorzał, i abys cudzego niczego nie zagabnął, tyle co igła nawet, bobym ciebie za dziecko

¹⁾ Przypuszczam.

swoje nie przyznała, i o swej Marcysi, zmówionej, pamiętał!

Pacierza nie przepominaj i przykazania codzień odmawiaj, jakom ci przykazywała odchodzącemu. A tak sobie to w sercu miej, żeś nie byle świniarek, ani łapciarz, ale dworzani¹⁾— więc ci się godzi między ludźmi honorność mieć, boś też i w heroldyę już wpisany za staraniem mojem i komornika Rzepeckiego, któremu nie pożałowałam dać za to rubli całych siedem, i tak w papierach stoisz zapisany z braćmi po porządku za ojcem i dziadem swoim.

To sobie pamiętaj, jakby cię co kiedy pokusiło, że ci w żaden sposób paskudnie czynić nie godzi się, co też tobie przypominam, i niech ci tak Bóg dopomoże, a odprowadzi zdrowego. A ja ciebie, synku mój Sylwestrze, błogosławię i uściskam. Amen.

Skończyła się kartka, i palec żołnierza na ostatnim wyrazie pozostał, a oczy szeroko rozwarte utknęły na owem »amen«, które było całym podpisem i jakby listu pieczęcią. Potem chłopak list oburącz wziął i owe »amen« pocałował, i z długim stęknieniem wyprostował się.

Na czole miał żyły nabrzmiałe i uszy krwią nabiegłe. Ze czią i szacunkiem papier napowrót do koperty włożył, sięgnął do kąta, dobył swój worek, rękę do spodu zanurzył i wyjął coś, owiniętego w czerwoną chustkę. Była to stara książka — między jej kartki list wsunął i znowu, starannie zwinawszy, do worka schował.

¹⁾ Szlachcic.

Potem na zydlu ¹⁾ usiadł, spracowane, niezgrabne ręce na kolanach złożył i zamyślił się.

Lampa rzucała nań blask w pełni, i twarz ta bezwasa, bardzo młoda, nabierała wielkiej powagi.

Znał w kufrze, gdzie przechowywano domowe drogocenne pamiątki: korale, pieniądze i najcieńsze odzienie, zwitek papierów żółtych, na samym spodzie będący.

Raz na rok tylko matka je kładła na stole, na serwecie i pozwalała oglądać.

Był tam dokument ich rodowy, i drzewo genealogiczne ²⁾, i herb jaskrawo malowany, i różne papiery z pieczęciami i z podpisami wielkich.

Przy tem oglądaniu oni trzej poważnieli bardzo, i oczy im błyszczwały.

Głowami prawie dotykali sufitu swej chaty, a mieli szare koszule i spencery samodziłowe, te karmazyny herbowe, a czytać ledwie umieli na książce do nabożeństwa. Niczem prawie od chłopstwa się nie różnili z pozoru.

A jednak to zdanie listu: »wpisany do heroldy« — uczyniło od razu z szeregowca wielkiego pana: martwa litera zaciężyła na nim, czyniąc w duszy jego ogromny przewrót.

Zdało mu się, że po sakramencie jest, tak uroczyście jakoś w nim było, tak cicho!

Siedział i dumał, uniesiony precz z tej izby,

¹⁾ Stołek bez poręczy.

²⁾ Rysunek, przedstawiający w postaci rozgałęzionego drzewa początek i kolejny rozwój jednego rodu.

w której jego wieśniaczym piersiom tak bardzo było duszno i ciasno.

Drzwi od schodów rozwarły się cicho, a w szparze ukazała się czapka kolegi i śmiejące się oczy.

— Sylwester!

— Aha!

— Chodźmy. U stróża muzyka i dziewczki. Pohulamy!

— Nie moja kompania.

— Phi! Podoficerem ciebie zrobili! Mańka jest. Chodź! W orlankę zagramy.

— Idź do czorta! Nie pójde.

Drzwi się zamknęły, i cisza zapanowała znowu. Nie na długo jednak. Ciche kroki rozległy się znowu na schodach i skrobanie do drzwi. Żołnierzowi twarz zapalała, zerwał się na równe nogi i stanął u drzwi zadyszany. Naprzeciw niego z ciemności sieni wysunął się Żyd chudy, z workiem pustym pod ręką. Oblediał oczami kąty i podniósł je na Sylwestra...

— Nu? — zagadnął cicho.

— Czego?

— Nu, ja przyszedł. Może co jest?

— Jest... Masz herbatę, ot, i pierze! Bierz!

— Nu, może cygara są? — rzucił, zagarniając podawane przedmioty i mnąc w ręku woreczek z pieniędzmi.

— Niema! Zapłać za to i wynoś się!

— Zaraz, co ty taki gorący?

— Ja tobie nie żaden »ty«; nie kradł ja z tobą!

— Ny, niech będzie »wy«! Może wypić chcecie! Mam żytniówkę fajną!

— Ja nie cham, żeby wódkę chlać. Oddawaj pieniądze i idź do dyabła!

— Ach, wy dziś skręcili się! Oddam. Co tam, pogadać nie można? Jaby tego owsa chciał zobaczyć; może cukier jest?

Żołnierz milczał, rachując miedziaki, brwi mu się zbiegaly groźnie.

— Nu? to i wszystko już? Więcej nic?

— Nie — pomyślał chwilę i worek wydobyl z kąta.

— Kupcie te dwie koszule i tę dewizkę! Co za to dacie?

— To? — żyd oglądał, miał, ważył.

— Dam rubla.

— Dziesięć złotych.

— Nie. Chyba co dodacie... Owsa!

— Dodam scyzoryk; dajcie dwa ruble!

Żyd czuł, że dla dalszych interesów twardym być nie można. Dobył pieniądze, potem, zgarniając koszule do worka, szeptał zcicha:

— Nu? a coście obiecali, jak będzie? Jutro?

Sylwester sapać zaczął. Ręce mu się mimowoli składały w pięści.

— Ni jutro, ni kiedy. U nas w rodzie złodziei nie było. Won, ty!

Zapałały mu tak złowieszczocy, że Żyd od progu się cofnął, drzwiami do połowy zasłonił.

— Wy teraz bez humoru... Ja tu jutro przyjdę — rzekł.

— Ni jutro, ni kiedy! — powtórzył żołnierz — a jak mi się nawiniesz jeszcze z pokusą, Judaszu,

to, jak Boga Kocham, klnę się, w tym twoim worku zęby i brodę poniesiesz! Won! słyszysz!

Postąpił krok naprzód — drzwi się zamknęły.

Chłopak na środku kuchni pozostał, cały dyżący. Krew mu grała po żyłach, i serce biło mocno.

Mundur włożył i do mieszkania wszedł. Przymaszerował do pani i na stole przed nią położył miedziaki.

— Co to?

— Żyd dał za wymoki herbaty i pierze!

— Weźże to sobie!

— Dziękuję. Przyszedłem też oznajmić panu, że owsa jeszcze jutro brać nie trzeba. Zbiegło na trzy dni pewnie.

— Toś zuch! Dostaniesz jutro urlop za to!

Cofnął się do drzwi, ale nie odchodził.

— Co tam jeszcze?

— Pokornie proszę pana o arkusz papieru i kopertę.

— Na list? Masz.

— Tak jest, do matki.

Wycofał się wreszcie zupełnie, ale go zawołano po chwili.

— Doróżkę nam sprowadź i dziecka dopilnuj. Wrócimy późno.

Cisza zapanowała w mieszkaniu. Sylwester dziecko do snu kołysał i tam przy niem zasiadł do pisania:

Sapał i potniał, krzywe litery stawiając i mając bezustannie.

»Najukochańsza mamó i wy mili bracia i siostry! Donoszę, żem zdrów, czego i wam z duszy

życzę, i w jednej służbie zawsze zostaję u kapitana, i żem dotąd karany ni razu nie był i wymówki też nie miałem, ani w pysk nie wziąłem. Koszule mi się tylko do cna zdarły, ale to fraszka, bo co chleba oszczędzę, to sobie sprawię.

A owe dwa ruble to niech mamie służą na trzewiki, a dwa złote takież mamie, na co niebądź, a więcej, to już nie mam.

Pozdrówcie też ode mnie chrzestną, i Hipka Rudeckiego, i Makarewiczów, i stryjnę, a stryjowi wieczny odpoczynek — Amen.

Frasunki wasze całkiem mnie zgryzły, a już ten Srul to najgorszy hycel.

Mili bracia i siostry, radby ja wam z duszy pomódz, ale chyba Bóg za mnie was poratuje. Na Wielkanoc może znowu trochę wam grosza przyśle, a dopokąd sił mam, starać się będę.

Marcy się też pozdrawiam i proszę, żeby mnie sobie pamiętała, boć wrócę ja do niej i nijakiego lajdactwa nie czynię.

A o jedno was, najukochańszą matko i mili bracia, proszę i zaklinam, to, abyście procesu, broń Boże, tylko nie rzucali.

Boć tatuś tak przykazał, i honor nasz szlachecki uczy, i gańba by była, i wstyd, abyśmy ustąpili. — Więc ten ambit miejcie i zawsze trwajcie w swem prawie.

Że ja teraz »wpisany do heroldyi«, to za to mamie nogi całuję, i swój honor ja znam, i nikomu się posponować nie dam, ani też co chamskiego uczynię, tak mi, Panie Boże, dopomóż. A te-

raz wam zdrowia życzę i pomyślności wszelkiej, i świętami winszuję na wieki wieków...

Miłujący was brat i syn

Sylwester Dubieniecki.

Dzieciak poruszył się w kolebce, więc żołnierz nad nim się pochylił, poruszając mrując:

— Luli, luli, luli!

Zpośród koronek czarne oczęta patrzyły ku niemu w półsennie.

— Caca niania, caca niania! — zaszemrała, usypiając, dziecina.

Żołnierz uśmiechnął się jasno i tak pozostał u tej kołyski, coś zcicha sobie nuąc.

Po przeczytaniu
książkę należy oddać zwrócić



KAMIEŃ.

po przeczytaniu
książkę natychmiast zwrócić

ZWIĄZEK INWALIDÓW WOJENNYCH

Rzeczypospolitej Polskiej
Koło w Białymstoku

dnia 192 r.

№

W odpowiedzi uprasza się powo-
ływać na powyższą liczbę,

~~BIBLIOTEKA DRUŻYNY~~

~~B. H. P.~~

~~w Białymstoku~~

62